

KUZNICA

Rok IV

Łódź, 15 lutego 1948 r.

Nr 7 (128)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ADOLF SOWIŃSKI

WIKARY Z WILKOŁAZU^{*)}

„Poza ludem nie ma nic prawowitego“.

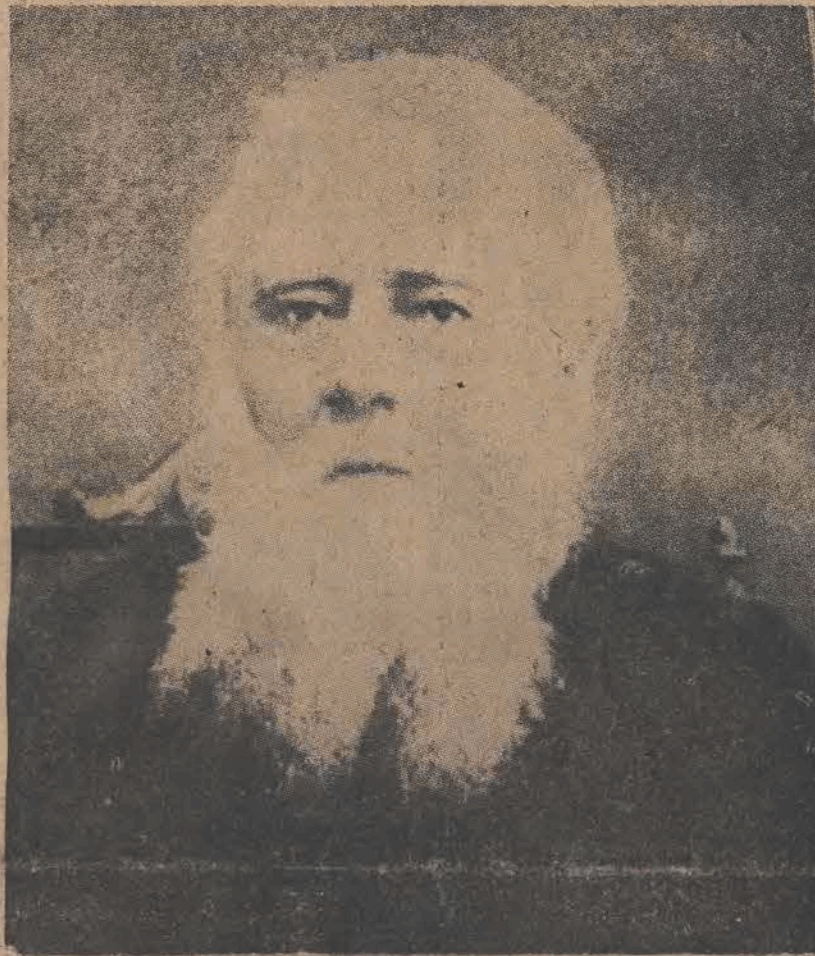
(Lamennais)

POSIADAMY tylko jedną podobną ks. Piotra Ściegiennego, pochodzącą z czasów jego późnej starości, gdy po powrocie z Sybiru pełnił obowiązki kapelana przy szpitalu Bonifratrów w Lublinie. Widzimy na niej starca o szerokiej twarzy patriarchy, okolonej i przedłużonej bujną siwizną dwudzielnej u dołu brody, czole wysokim, od którego siwizna niewiele cofnęła się ku górze, nosie wydatnym i trochę za bardzo u nasady rozszerzonym, jak gdyby natura w tym szczególe nie wykończyła swej rzeźby. Niewielkie oczy są głęboko osadzone, ale nie zapadnięte i patrzają ze świeżością człowieka, który ma czyste sumienie i nie pragnie niczego wyjaśniać. Są bystre i uporczywe, choć spoglądają gdzieś daleko, skupione na jednym punkcie, jakby im jeden punkt świata wystarczał. Starzec siedzi półobrotem ciała zwrócony do widza, a jedynie twarz obrócił całkiem ku przodowi. Czarną i grubą czamurę, przypominającą krojem chłopskie sukmany, rozchylił szeroko, ukazując na piersiach głębszą jeszcze czerń sutanny, prawą rękę o dłoni bez zaciśnięcia zwinętej w pięść, położył opuszczoną na kolanie, a w lewej, nieco mniej opuszczonej i lekko tylko opartej, trzyma na pół otwartą małą książeczkę.

Z taką właśnie małą książeczką w grubej dłoni zastajemy go twarzą zimą r. 1840, gdy był w pełni sił, a gorączka rozrastająca się idei tych sił mu jeszcze dawała. Książeczka wielkości modlitewnika, ale cieńsza nawet od modlitewników, nosiła pełny tytuł: „Księgi Ludu, dzieło F. Lamennais'ego, staraniem i nakładem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego na odczyty język przelotne“, a ujrzała światło dzienne na dwa lata przedtem w pamiętającym czasy Karola Młota słonecznym i romańskim mieście Poitiers. Ks. Ściegienny dobiegł już do ostatniego rozdziału, gdzie autor w „kilku słowach zwróconych do Ludu Polskiego“ mówił, że spojrzawszy na wschód ku pięknej ziemi polskiej ujrzał „ponure czoła, zasępione lica, nieme usta, i tylko jeszcze same oczy groźne“, jednakże wrażenie jakie na nim książeczka wywarła, było tak wielkie, że począł ponownie przewracać jej kartki aż powrócił do samego początku.

Była to jak gdyby krótka Biblia nowożytna, bo i stylem Biblii pisana, a pełna śmiałych myśli moralnych i popierających je rozległych porównań homeryckich na kształt przypowieści. Wykazywała uderzające podobieństwo do mickiewiczowskich „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego“, pod których wpływem zresztą powstała, ale ks. Ściegienny tego nie wiedział, bo ksiąg mickiewiczowskich nie znał. Książeczkę Lamennais'go natomiast czytał ze zdumieniem i radością człowieka, który po długich latach samotności nieoczekiwanie spotyka niezawodnego przyjaciela o tych samych myślach i uczuciach, a nawet więcej: przyjaciela mądrzejszego i bardziej doświadczonego, który jasno i przekonująco formułuje to, co było w nas częstokroć tylko mgławicą i poczuciem osamotnionej racji, przyjaciela, który wciąż wprzód nas o krok, jakby szedł z lampą po ciemku przed nami. Ks. Ściegienny poszedł znowu od początku za przyjacielem.

„Wędrując po tej ziemi — czytał — jako wszyscy — biedni przechodnie — po niej wędrujemy, usłyszałem przeraźliwe jęki: otwarłem oczy i oczy moje ujrzały niesłychane cierpienia, niezliczone dolegliwości. Wyhlakta, schorzysta i na pół omdlejąca ludzkość stanęła przede mną w pokrwa-



Ks. Piotr Ściegienny

wionej żalobnej szacie, i zapytałem siebie: jest że to człowiek? jest że to ten człowiek, którego Bóg stworzył? I moja dusza wzruszyła się głęboko, i ta wątpliwość napędziła ją trwogą.

Lecz wnet poznałem, że te cierpienia i te dolegliwości nie pochodzą od Boga, od którego wszelkie dobro pochodzi, i od którego nic nie pochodzi prócz dobra: że są one dziełem samego człowieka, pogrążonego w ciemności i zepsutego przez namiętności; i miałem nadzieję, i miałem wiarę w przyszłość rodu ludzkiego. Losy jego zmieniają się, skoro sam zechce, aby się zmieniły, a zechce zaś tego, skoro do uczucia niedoli przyłączy się jasne pojęcie skutecznego na to „lekarstwa“.

Książę równą linią, grubiejacą lekko pod sam koniec wiersza, jak to widzimy w jego lubelskich rękopisach, podkreślił ostatnie zdanie i czytał dalej, że są ludzie, którzy wśród niepogód i upałów pracują w ziemi, składając w nią wraz z ziarnem cząstkę swego życia. Ci są z ludu. Inni pracują po lasach i kamieniołomach, spuszczają się do wnętrza kopalni po sól, węgiel i kruszec, starają się, aby dostarczyć wszystkim dość rzeczy użytecznych. Ci także są ludźmi z ludu. Wielu innych żeglują po morzach, aby wśród niebezpieczeństw, skwarów zwrotnikowych i mrozów przy biegach umożliwić wymianę towarów między krajami lub rybołówstwem przysporzyć żywności. Ci jeszcze są ludźmi z ludu. Inni wreszcie służą w pułkach zaciężnych i poborowych, a za narażanie się na śmierć lub kalectwo otrzymują zaledwie codzienną strawę. Ci również są dziećmi ludu. Ale nad tymi wszystkimi stoi garstka ludzi bogatych, którzy to, co im się podobało uchwalić, nazwali prawem i mówią: „Azaliż ojczyzna jest dla ubogiego?“ Z jednej więc strony zgromadziła się władza, bogactwa i rozkosze, a z drugiej wszystkie ciężary społeczeństwa, chociaż po tej drugiej stronie znajduje się olbrzymia większość ludzkości, bo „jeżeli odejmiesz garstkę uprzywilejowanych, zatopionych w samych zabytkach i rozkoszach, lud będzie rodzajem ludzkim“.

Lekarstwo na ten stan rzeczy widzi Lamennais w odebraniu władzy tej właśnie

garstce uprzywilejowanych, bo kłamstwem jest, „jakoby władza należała z prawa do niektórych rodzin doskonalszej natury“. Wszyscy ludzie urodzili się równymi i zdolni do sprawowania władzy lub dokonywania jej wyboru, „kiedy więc ze zburzeniem naturalnej podstawy równości w urzędzeniu społecznym pewne uprzywilejowane klasy przychodzą wyłącznie do władzy ustawodawczej, kiedy ta władza zamienia się w przywilej urodzenia lub bogactwa, naówczas jest bezrząd i tyranstwo“, bo „poza ludem nie ma nic prawowitego“.

Ks. Ściegienny podkreślił ostatnie słowa gęsim piórem, które w jego dużej dłoni wyglądało jak wąty promyk, gdy wśród wiatru na dworze, gdzie zapadał już zmierzch, usłyszał skrzypiące po śniegu kroki. Wszedł młody człowiek lat niespełna trzydziestu, wysoki i ruchliwy. Książę poznał go kilka dni temu przez znajomych w Lublinie, dokąd jeździł z polecenia proboszcza w sprawach parafialnych. Młody człowiek przedstawił mu się tam jako Cels Lewicki z Warszawy, wykazywał duże zainteresowanie nastrojami chłopstwa w Wilkołazie i poglądami wikarego, któremu na pożegnanie dał książeczkę Lamennais'go. Skwapliwie również przyjął zaproszenie i obiecał, że przywiezie do Wilkołazu książkę jeszcze ciekawszą.

— Mam wrażenie, że się znalazłem nieomal w grocie św. Hieronima — rzekł gość zrzucając ciężki kożuch i rozglądając się wokoło. — Albo nieomal w chłopskiej izbie — dodał — tyle, że w czystości, ale za to w większym zimnie. Nie można by tak dorzucić drzewa do komina, albo i kuszyceczkę czego dostać na rozgrzewkę?

Książę podsycał spopielały ogień, ale żadnych trunków w domu nie miał, powiedział jednak, że może pożyczyc kwaterkę miodu od proboszcza.

— Nie trzeba, nie trzeba, skoro już jest ogień — zaoponował Lewicki, krząc po izbie i rozcierając zgrabiale ręce. Nagle zatrzymał się koło łóżka, na które rzucił przed chwilą kożuch z takim rozmachem, że odchylił się brzeg pokrywającej je derki. — O! — wykrzyknął — słoma bez siana, tylko płachtą przykryta! Tak sypia

„Panów i księży, którzy by Was namawiali trzymać stronę monarchów, nie słuchajcie, niech biedny pomaga biednemu, niech biedny i nieszczęśliwy broni biednego i nieszczęśliwego“.

Ks. Ściegienny

TREŚĆ NUMERU:

ADOLF SOWIŃSKI —

WIKARY Z WILKOŁAZU

ALEKSANDER WAT —

ANTYZOIL ALBO REKOLECJE
NA ZAKOŃCZENIE ROKU

STANISŁAW JERZY LEC

WIERSZE

FLORA BIENKOWSKA —

W POSZUKIWANIU ANNY

JULES SUPERVIELLE —

NA ULICY

HENRYK STAŻEWSKI —

DEFORMACJA W PLASTYCE

ANDRZEJ BRAUN —

„INKLUZOWE WIANO“ MORTONA

HENRYK WOLPE —

MYŚLI O NOWEJ POLSCE

WITOLD KULA —

TOREM ZŁYCH TRADYCYJ

PRZEGLĄD PRASY

KORRESPONDENCJA

NOTY

wikariusz parafii mającej kilka tysięcy dusz i ordynację Zamojskich pod bokiem! To już chyba tylko zasady wchodzą tu w rachubę.

— Brat się długo uczył na geometrę — odrzekł ksiądz zawstydzony — drugiemu, który objął po ojcu gospodarstwo pańszczyźniane, trzeba było pomóc, aby z zaciężnego chłopca przeszedł na czynszownika, a dwie siostry jedna po drugiej wychodziły za mąż, nie było więc ani środków ani wolnej głowy, aby o czymkolwiek pomyśleć. Zresztą ja lubię tak sypiać.

— Czysty św. Hieronim — nawiązał Lewicki do swego powitalnego porównania. — A różnica tkwi chyba tylko w tym, że u księdza nawet książek nie ma, które by go wiązały z bezbożnym Rzymem — dodał, przeglądając ubogą biblioteczkę wikarego, wśród której przeważały książki treści religijnej lub też aprobowane przez władzę kościelną. — Książę „ma tę historię“?

Ks. Ściegienny nie znał historii o św. Hieronimie, który wyrzekłszy się wszelkich uciech Rzymu i udawszy się nieomal na puszcze, aby mógł spokojnie pracować nad przekładem Pisma Świętego, zabrał ze sobą dzieła Cyserona, gdyż nie potrafił odmówić sobie przyjemności obcowania ze stylem Tuskułańczyka, chociaż był to pisarz pogański. A gdy zapadł na ciężką chorobę, w gorączce miał widzenie, że został wezwany przed tron Boski na sąd pośmiertny, gdzie mu zadano pytanie kim jest. „Jestem chrześcijaninem“ — odrzekł z pokorą św. Hieronim, ale Bóg mu nie uwierzył i wykrzyknął z gniewem: „Ciceronianus es, non Christianus!“.

— Obawiam się — powiedział ks. Ściegienny, wysłuchawszy opowieści, że w swym drobnym zakresie zasługuję na podobne potępienie, bo książeczka ks. Lamennais'go na równi ze wszystkimi jego pismami została jak się dowiedziałem w kurii lubelskiej, potępiona przez Ojca św. Ale mnie trudno byłoby już teraz bez niej się obejść“.

Lewicki nie chciał przyjąć rozmowy na ten temat. Zbył sprawę orzeczeniem, że musi w tym tkwić jakaś pomyłka albo czasowe nieporozumienie. Pytał natomiast o wrażenia z lektury. Ks. Ściegienny ujął je

*) Fragment monografii powieściowej o Ks. Piotrze Ściegiennym, która ukaze się nakł. Państw. Inst. Wydawniczego.

w słowach pełnych entuzjazmu dla autora, a zwłaszcza podkreślił jego trzeźwą myśl, że należy postawić tamy dla ludzkiej żądzy posiadania, która łatwo przeradza się w pychę i chęć ujarznienia drugich, jak gdyby nie wszyscy byli jednako wezwani na wspaniałą ucztę natury. Uderzyło go również porównanie ludzkości do wielkiego drzewa, które jest jedno, chociaż wypuszcza wiele konarów i gałęzi, tak jak ludzkość posiada wiele ludów i plemion, tworzących wszelako jedną rodzinę o wspólnym celu i zadaniu, bo wszędzie chodzi o zniszczenie przemocy bezprawnych przywilejów stanu panującego. Braterstwo ludów zasadza się jedynie na braterstwie klas uciemięzonych. Książd otworzył książeczkę i z łatwością znalazł w niej miejsce, którego potrzebował, tak bardzo ją już przetrwał. „Ludy — czytał — już zaczynają rozmawiać, że ich interesy są te same, a nie przeciwne sobie, jak to utrzymują ci, co je oszukują, aby je poróżnić, a poróżniają je, aby tym pewniej nad nimi panować. Już mocnym instynktem zbliżają się ludy do siebie i skłaniają do uznania się braćmi“.

Cels Lewicki siedział przy stole na przeciw księdza długą chwilę w zamyśleniu. O ile przedtem zdawał się być stworzonym do myślenia w ruchu i ferment, o tyle teraz opuściła go właściwa mu żywość, parę razy chciał przemówić, ale nie rzekł nic i pozostał nieruchomo ręce na stole. W izbie zrobiło się ciepło, mroźny wiatr uderzał o jeden róg domu, pies zawarczał w pobliżu. Na drobnych i zamazanych szybach ukazał się wysoko księżyc, niewyraźny i rozproszony jak odbicie światła w płynącej wodzie. Cienie od ognia skakały po ścianach. Wreszcie Cels poruszył się, wziął z rąk księdza książeczkę Lamennais'go, przybliżył ją do świecy, przewrócił kilka kartek i odczytał prawie ze smutkiem zdanie: „Każdy lud winien innym ludom sprawiedliwość i miłość“. I po chwili głośniejszym głosem powtórzył to zdanie.

— Musimy pamiętać — rzekł następnie — że przemoc obca jest gorsza od przemocy własnej. Gdy obcy najezdnik zawojuje kraj, przeciwko ludowi spryskują się dwie sily: obcy najezdnik i własny ciemięzca, nie syty bogactw i władzy, jak mówi Lamennais. Gdyby nie było najezdnika, można by sobie łatwiej poradzić z klasą własnych możnowładców, bo ci nie mają broni i wojska. Mają tylko bogactwa, które łatwo jest zniwieżyć.

— Nieprawda! — zaprzeczył żywo ksiądz. — Oni sprzymierzili się z najezdnikiem dla obrony swych bogactw. Mają do rozporządzenia jego bagnety, których opiekę chętnie przyjęli, gdy zabrakło im własnych.

— Trochę inaczej to wygląda. Oni też są uciemiężeni...

— Nie obchodź mnie uciemiężenie ludzi — przerwał mu ksiądz — którzy nie tylko sami ciemiężą innych, ale nawet nadali swemu postępowaniu charakter prawa. — I postawił retoryczne pytanie, które po raz pierwszy sformułował po upadku Powstania Listopadowego:

— Czyż nie wszystko jedno, kto panuje nad szlachtą, skoro szlachta panuje nad chłopem?

— To słuszne — rzekł Lewicki, który zaczął znowu krząć po izbie, ale nie odzywał już pierwotnego zapалу. — Zaprzeczanie sprawy chłopskiej w sejmie powstańczym było o wiele większym błędem niż wszystkie błędy strategiczne, popełnione w ówczesnej wojnie z Rosją. Ale to już dawno zrozumiano.

— Kto zrozumiał? Ja nie znam takich. — Zrozumieli ci, którzy daremnie podczas insurekcji walczyli o sprawę chłopską, a później musieli z łzami ująć za granicę. Są we Francji, w Paryżu, Montpellier, Tuluzie, Angoulême, Poitiers. Są na brzegu angielskim w Portsmouth, na wyspie Jersey. Założyli Towarzystwo Demokratyczne Polskie, którego program żąda obdzielenia ludu ziemią.

Przy ówczesnych warunkach komunikacyjnych i otoczeniu ziem polskich trzema policyjnymi kordonami państw Świętego Przymierza wieści zza granicy, a zwłaszcza z burzliwej Francji, gdzie przez kilkanaście lat ogniskowała się polska myśl polityczna i społeczna, kwitująca wśród Wielkiej Emigracji, nadchodziły rzadko i w silnym zniekształceniu, a druki emigracyjne należały w kraju do rzadkości wprost już nieosiągalnych dla wiejskiego wikariusza, który nawet od prowincjonalnego Lublina był oddzielony przysłowiowymi siedmioma milami. Jeden z pamiętnikarzy tych czasów wspomina, że same nazwy demokracji i artystokracji, stanowiące wśród ówczesnych Polaków we Francji tak żywy przedmiot sporów i walk, owych mickiewiczowskich „potępieńskich swarów“, były szerokiemu ogółowi w kraju nie tylko obojętne, ale nieznanie zupełnie w ich sensie aktualnym, odnosząc się najwyżej do historii starożytnej Grecji. Na emigracji stronnictwo konserwatywno-arystokratyczne, skupiające się wokoło Hotelu Lambert, histo-

rycznego pałacu na wyspie św. Ludwika w Paryżu, gdzie podówczas mieszkał ks. Adam Czartoryski, uchodzący jako potomek Jagiellonów za króla polskiego, zachodziło powoli w cień wobec działalności Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, które — jak opiewa odczynny ustęp jego Manifestu programowego — „aktem założenia z dnia 17 marca 1832 r., wykazawszy konieczność reformy społecznej, postanowiło pracować w duchu zasad demokratycznych nad odzyskaniem niepodległości kraju i usamowolnieniem ludu“. Tymczasem w kraju, a zwłaszcza w Królestwie pod rządami Paskiewicza, reakcja społeczna święciła swoje triumfy, zaorywano granice i wstrzymywano ruch handlowy przez nie w okresach, gdy spodziewano się nasilenia przemytu druków nielegalnych. Nic więc dziwnego, że wikary z Wilkołazu, chociaż od lat przejęty był sprawą chłopską, nie znał nawet imienia nowych ruchów i szedł sam po omacku, tym większy w swych myślach i marzeniach, które po apostolsku od siedmiu lat już wpałaj okolicznemu chłopstwu ostrożnie na kazaniach, a śmielej wśród odwiedzin chałup w obu Wilkołazach, Kłodnicy Górnej i Dolnej, Kępie, Białowodach, Osinach, Zalesiu i innych wsiach wchodzących w skład rozległej parafii. Z nazwą Towarzystwa Demokratycznego Polskiego spotkał się po raz pierwszy na karcie tytułowej książeczki Lamennais'go i na jej karcie ostatniej, gdzie autor orzekł, że zasady, wyrażone w nadesłanym mu Manifestie tego Towarzystwa są przeznaczone do panowania kiedyś w odrodzonym świecie.

Ten właśnie Manifest, datowany dnia 4 grudnia 1836 r. również ze słonecznego Poitiers, wydobyl Lewicki z podróznego sakwojaża.

— Zostawię księdzu i tę książkę — rzekł — ale teraz chciałbym przeczytać z niej pewien ustęp, który by nam pozwolił zakończyć naszą rozmowę. Chodzi mi o to, że ci którzy ruch rewolucyjny, jakim było na początku powstanie, zamienili w prostą kampanię militarną, zostali już potępieni przez naród, to jest przez tych, którzy w narodzie mają rozum i serce. Oni nie zostaną dopuszczeni do ustanawiania praw, gdy ojczyzna znowu powstanie, oni już nawet w tej chwili praw stanowić nie mogą, więc gdyby ich nawet wszystkich wyróżnić sytuacja chłopca nie uległa by poprawie, bo miłościwie nam panujący car Mikołaj I uzpaje tylko stanowe urządzenie społeczeństwa ze szlachtą na szczycie, a chłopem jako bydlęciami roboczym na samym dole. Tak mu jest wygodnie, bo w takim ustroju wie, kto jest za nim, a kto przeciw niemu, wie komu powierzyć palki do utrzymywania ludu w rykach, a nie od parady nazywają go carem Pałkinem. Przypuścimy, że udało by się ogniem i mieczem wytepić co do nogi własnych dziedziców, czego ksiądz jako chrześcijanin nie mógłby pochwalić, to car nie ścierpałby pod swoim bokiem ustroju, który by pokazywał drogi jego własnemu ludowi. Znalazłby dość następców na opróżnione miejsca. Ale on do opróżnienia tych miejsc nie dopuści, dlatego sprawa ludu łączy się ze sprawą niepodległości.

Książd przyjął ten rozgląd z dużym niedowierzaniem. Uważał raczej, że groźniejsze jest dla chłopca nieublagane obstawanie szlachty polskiej przy swych przywilejach, niż panowanie rosyjskie nad krajem. Gdyby szlachta, tyle mówiąca o niepodległości, miała rzeczywiście dobrą wolę, pańszczyzna mogłaby zniknąć pomimo panowania rosyjskiego, bo car nie zdołałby przeciwstawić się powstawaniu godziwego i na razie nie potwierzonego prawem, ale świętego jak przykazania Boże obojętne, że chłop nie wychodzi na pola dworskie do bezpłatnej roboty, nie płaci czynszów i danin, nie może być wyrzucony z ziemi i traktowany jako stworzenie podlejszego gatunku, przeznaczone do czapkowania, znoszenia słów ordynarnych i całowania ręki pańskiej. Zwłaszcza ta ostatnia dziedzina chyba nie wynika z poparcia cara rosyjskiego, ale z pychy dziedziców. Ci ludzie są zepsuci jako stan. „Im więcej posiadają — mówił — tym więcej pożądają. Chcieliby posiadać bogactwa całego świata. Pragną, aby im wszyscy holdy składali i dlatego ubiegają się o dostojęstwa, honory i ordery, aby spokojnie żyć mogli, krzywdząc bliźnich zbierać bogactwa i tym jeszcze sposobem nakazywać szacunek i poważanie siebie“. Zadnemu z nich natomiast „nie przyszła do głowy myśl szczególna i pobożna zapisania jakiej sumki na wieczny odsetek, który by służył na zakładanie szkółek wiejskich, na utrzymywanie przy nich nauczycieli, na kupno książek elementarnych dla dzieci ubogich włościan lub zabezpieczenie pierwszych do życia potrzeb ubogich wdów i sierot wiejskich“.

— Car nie urabia im serce, przepojonych pogardą dla chłopca — zakończył.

Cels Lewicki przysiadł na łóżku księdza smutny i zgaszony. Nie próbował mu przerywać i jeszcze teraz zdawał się oczekiwać

jego dalszych słów. Ogień znowu przygasł, wiatr ustawał, dzwony sanki, gonione przez naszczekującego psa. Księżyc zeszedł z okna, pozostawiając na nim błękitną poświatę, a przez oddajale od żaru, ale już na powrót zamierzające po brzegach szyby wiadać było idącą po śnieżnej płaszczyźnie drogę wśród obciętych wierzb, kościół, chałupy, nad wszystkim zaś obrzymie niebo z gwiazdami, które zawsze najjaśniejszą świecą zimą. Gdyby tu uderzył w dzwon, zbiegłby się ludzie gotowi ratować przed pożarem lub rabusiami dom sąsiada, ale gdyby zawołał do nich słowami odezwy Jana Henryka Dąbrowskiego: „Polacy, nadzieja powstaje!“, rozeszliby się w spokoju do domów, pewni, że nie ich wołano, bo ich nikt Polakami nigdy nie nazywał. Gdy się mówi o Polakach, idzie o sprawę ludzi ze dworu. Ludzie z chałup są chłopami. Cels Lewicki wiedział, jak dalece ks. Sciegienny ma słusność za sobą, uważał jednak zarazem, że ta słusność jest nie tylko polowiczna, ale nader niebezpieczna. To prawda, że państwo, choć cudze już teraz, nadal utożsamia się dla chłopca z panowaniem szlachty, skoro nawet wójt jest panem, bo w r. 1818, gdy w ramach przedpowstaniowego Królestwa Polskiego można było jeszcze wiele spraw urządzić po swojemu, dekret rządowy postanowił, że wójtem może być jedynie okoliczny dziedzic. To prawda, że szlachta zaślepiona jest stanowo, ale na tym przemoc wobec chłopca się nie wyczerpuje. Chłop dostrzega jedynie przemoc bezpośrednią, podobny w tym do bitego różgą w szkole dziecka, które nienawidzi tylko wykonującego karę pedła, bo nie dostrzega rozmiarów czuwającego nad szkołą systemu. Ten ksiądz również nie widzi, gdzie tkwi zło największe, ale powoli je zauważył, trzeba mu tylko dać na to czas.

— Ma ksiądz o tyle rację — powiedział więc — że chłop dopóty nie doceni doniosłości odzyskania niepodległej ojczyzny, dopóki będzie żył w ciemności i upośledzeniu materialnym. Moim zdaniem usamowolnienie gospodarce chłopca i akcja oświatowa na wsi winna iść równoległe z działalnością niepodległościową. Dlatego chciałbym, aby ksiądz poznał, jak sobie te rzeczy wyobrażają ci, dla których ucisk narodu wobec narodu jest co najmniej nie mniejszy od ucisku stanu wobec stanu. Mówią oni w swoim Manifestie chociażby tak: „Odrodzona, niepodległa Polska demokratyczna będzie. Wszyscy bez różnicy wyznań i rodu odbiorą w niej umysłowe, polityczne i socjalne usamowolnienie, nowy porządek, obejmujący własność, pracę, przemysł, wychowanie i wszystkie stosunki towarzyskie“, na zasadach równości oparty, zajmie miejsce bezrządu, któremu przywłaszczyciele nazwisko praw dotąd nadają. Odrodzona Polska arystokratyczna Rzeczpospolita być nie może. Wszczęwładztwo wróci do ludu: stan niegdyś panujący rozwiąże się ostatecznie, między lud zstąpi, stanie się ludem; wszyscy będą równi, wszyscy wolni, wszyscy dziećmi jednej matki Ojczyzny“.

— Nie zakończymy chyba dzisiaj naszej rozmowy, księżę wikary — dodał, odkładając książkę, z której przeczytał ten ustęp — ale nie jesteście na biegunach, bo chodzi nam o ten sam lud polski. Zostawię księdzu i tę książkę, zastrzegając sobie prawo do dalszej rozmowy. Dobrze by było, żeby ksiądz częściej zjeżdżał do Lublina, a chętnie widzielibyśmy księdza i w Warszawie. Jest tam dużo ludzi dobrej woli, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, którego nie zatrąla gorycz upadku rewolucji listopadowej, a które w międzyczasie dorosło. Można tam zobaczyć nawet kasztelańskich synów, którzy porzucili bez żalu środowisko magnackie, aby się poświęcić sprawie ludowej. Nomina sunt odiosa. Będziemy o nich mówić w miarę dalszych potrzeb. A teraz muszę już odejść, bo czeka mnie dalsza droga.

Po jego wyjściu ksiądz długo chodził po izbie i chuchał parokrotnie na zamazaną szybę, aby wyrzucić na dwór, gdzie chałupy chłopie stały głęboko we fioletowym cieniu, a księżyc zeszedł już nisko i pozostawał na wysokości żurawi studziennych. Nieobjęta i luzurowa cisza, której nienawidzą psy wiejskie, wyjął na nią znienacka niby na zbliżającą się, a niedostępną jeszcze powódź, przejęła patrzącego dreszczem, jak gdyby spoglądał we własną przyszłość, która miała mu przynieść wiele takich nocnych zamazanych przestרחiach Sybiru. Poczuli się nagle człowiekiem bez ojczyzny i pomyślał z żalem, że tak dawno nie był już w Bilczy, gdzie przynajmniej lasy dają granicę spojrzeń, a po rodzajach szumu, dającego od nich, można poznać strony świata. Tam stał z zagasłą latarnią pod jednym z tych lasów chłopak, który ukrywał się w cieniu i obmyślał sposoby uratowania wsi przed złoczyncami, gdy za ich kroki brał spadający z gałęzi nadmiar śniegu. Jego nastroj i marzenia rozrosły się jeszcze bardziej w

czterdziestoletnim mężczyźnie, który wiedział już jednak, że spłoszony nocą rabuś przychodzi w innej postaci za dnia pod osłoną ustanowionych przez samego siebie praw i będzie przychodził dopóty, dopóki w chałupie chłopiejskiej, pokazawszy mu zęby i okuty kij, nie przestaną się bać jego gniewu „Gniew złych ludzi — pomyślał słowami Lamennais'go — nie jestże gniewem srogiego zwierza, który się pastwi nad swoją ofiarą? A ich skargi nie są skargami śpępa, któremu się zdobył z szponów wymyka“.

Tej nocy ks. Sciegienny poszedł spać dopiero po wypaleniu się ostatniej świecy, jaką miał w domu. Długo wertował kilkanaście stron druku, z których przemawiał doń Manifest Towarzystwa Demokratycznego. Był porwany, ale tu i ówdzie doznał uczucia rozczarowania, wydawało mu się bowiem, że ci ludzie czynią niekiedy to samo, co zarzucają swym przeciwnikom z arystokracji: przyodziejają się majestatem ludu. Obce mu zresztą były niektóre aluzje, dotyczące poglądy politycznych ówczesnych stronnictw na emigracji, nie obchodziły go „gabinetowe układy“, odnoszące się do szerokiej akcji dyplomatycznej, jaką podówczas w sprawie polskiej prowadził Hotel Lambert, nie pasjonował go bynajmniej sejm, który nie zdołał się na emigracji ukonstytuować, a z którym Towarzystwo Demokratyczne zapowiadało walkę, „gdyby mógł jeszcze ze swoich szczytów zebrać się w jakimkolwiek składzie“, uznać go bowiem należy „za reprezentanta przywilejów i zatraciciela rewolucji Listopadowej“. Ale gdy Manifest mówił, że na gruzach starożytnego gminowładztwa słowiańszczyzny wytworzyła się warstwa szlachecka, która zagarnęła w swe ręce całą władzę, pozabawiając lud praw własności i odsuwając go od jakiegokolwiek wpływu na władzę, ks. Sciegienny domyślił się czujnie, że Towarzystwo Demokratyczne przyjęło do swego programu poglądy ówczesnego koryfeusza historiografii polskiej, Joachima Lelewela, który głosił, że pierwotny ustroj społeczny ludów słowiańskich opierał się na komunistycznym użytkowaniu ziemi w ramach gminy. „Była to — powiada Lelewel w swym dziele „Polska średnich wieków“ pięknymi słowami, których parafraza zabrzmiała później u Żeromskiego — ziemia gminna; nie moja, nie twoja, ale nasza; mirska“, ziemia ludu, święta“.

Ten właśnie pogląd w ustępie, który na czuwającego księdza podzielał jak pobudka do czynu, oznaczał ową „księgę dziejów ojczyzn“, potwierdzającą pierwotne prawa ludu do ziemi. „Oświadczamy na koniec — czytał bowiem w zakończeniu Manifestu — że daleka jest od nas chęć mordów i pożogi własnego kraju. Nie z mieczem Archaniola, ale z księgą dziejów ojczyzn w ręku — z jednej strony wykazywać będziemy uciśnionym, iż ani prawa Boskie, ani kilkowiekowa przemoc ludzka nie obowiązują ich do pozostawiania dłużej w nędzy i znieważającej godności człowieka niewoli — z drugiej, budząc też same uczucia odwiecznej sprawiedliwości, przywołując też same historyczne wspomnienia, nie przestaniemy wołać na dziedziców przywłaszczycieli i przesądów szlacheckich, w imię własnego interesu, w imię dzisiejszej oświaty, a szczególnie w czarodziejskie dla wszystkich imię miłości ojczyzny, o powrócenie wydartych praw ludowi. Nie wiemy czyli uczucie sprawiedliwości w jednych czyli zniecierpliwienie i zawziętość oczekiwania u drugich, będą hasłem wysobobodzenia Polski. Gdyby jednak konieczna zmiana porządku społecznego i za nią idąca niepodległość bez gwałtownych wstrząśnień obejmę się nie mogły; gdyby lud musiał być surowym sędzią przeszłości, mścicielem wyrządzonej sobie krzywdy i wykonawcą nieoficjalnych wyroków czasu, my dla garstki uprzywilejowanych nie poświęcimy szczęścia dwudziestu milionów, a przelana krew bratnia spadnie tylko na głowy tych, co w zapamiętaniu własny egoizm nad wspólne dobro i wyjarzmienie ojczyzny przeniosą“.

Przeglądając przy dopalającej się ostatniej świecy czternaście i pół strony podpisów, jakie następowały po ostatnich słowach Manifestu, ks. Sciegienny nie spotykał co prawda wśród nich wielkich nazwisk historycznych, których sława i majętność jakże często wydziewały się na barkach jemu podobnych, ale tym niemniej były to prawie wszystkie nazwiska szlacheckie, liczone na setki. Może właśnie o nich myślał również, gdy w „Złotej książeczce“, stępując nieco ostrze swych strażów przeciwko nieprzyjaciółom ludu, mówił o „dobrych panach“, których należy słuchać i kochać oraz nie dozwalać ani rządowi ani „złym panom“, aby ich wzięli i zabili. Już leżąc w łóżku na krótko przed północnym świtem zimowym ks. Sciegienny pod wpływem chłodu grubej pościeli i wygodnej pozycji ciała otrzeźwiał nieco z alarmującego nastroju, w jaki wprawiało go za-

*) Społeczne.

*) Należąca do gminy wiejskiej.

kończenie Manifestu Towarzystwa Demokratycznego. Zauważył bowiem, że w tych zdaniach, gdzie podkreślił swym piórem słowa o ludzkiej, który ma być surowym sędzią przeszłości i mścicielem wyrządzonej sobie krzywdy, zawarty jest ponadto program, któremu usilnie przeciwstawił się w rozmowie z Lewickim, a który stał się teraz ogólnym symbolem walki. Tak, sztandar nie ma chyba wpływu na ideje, ale pozwala walczącym odnajdywać się wzajemnie w jego pobliżu. „Ojczyzna — myślał ksiądz — była dla chłopca rzeczą

daleką i obojętną jak przyjemności i zaszczyty pańskie, chociaż pan doznawał ich na tej samej ziemi, na której żył i trudził się chłop. Pan wiele mówił o ojczyźnie, bo miał dostatek i nikt nie uwłaczał jego godności ludzkiej. Jeżeli chłop zdobędzie dostatek i godność ludzką, zdobędzie zarazem ojczyznę na miejsce więziennego i ponurego warsztatu pracy, którym jest dlań obecnie rodzinna ziemia, ów niedogdy podobno rozkoszny raj. Lud, do którego oprócz chłopca należy i ten, który wydobywa kruszce, i ten, który uprawia rzemio-

sło w mieście, i ten, który jest żołnierzem na rozkaz innych, nie pragnie zajęcia miejsca panów, aby gnębić z kolei innych. Lud pragnie dostatek i godności ludzkiej jako przysługującego wszystkim prawa powszechnego, a nie jako przywileju. Wtedy lud będzie bronił granic swej ojczyzny. Zanim to nie nastąpi lud polski sprzymierzy się raczej z ludem rosyjskim, równie jak on uciskanym, aby wspólnie zgłosić swych ciemiężycieli. Król polski byłby takim samym wrogiem ludu jak car rosyjski. Kto chce mówić o Polsce, niech stawia sobie

cele służące wyłącznie ludowi i szuka tylko takich sprzymierzeńców, o których najpodejrzliwszy nie mógłby nawet pomyśleć, że przyoblekają się majestatem ludu. Ojczyzna jest działaniem i wynikiem dobrych praw, a nie ich obietnicą. Lud już dość nasłuchał się obietnic. Lud nareszcie musi sam ustanowić prawa i zdobyć ojczyznę”.

Wśród tych myśli ks. Ściegienny zasnął twardym i spokojnym snem spracowanego oracza.

Adolf Sowiński

ALEKSANDER WAT

Antyzoil albo rekolekcje na zakończenie roku

Dyskusja o literaturze VIII

CZEŚĆ DRUGA

11. Najogólniej sformułowane zarzuty przeciwko naszej dzisiejszej literaturze prowadzą się do tego, że nie daje ona obrazu i prawdy naszej dzisiejszej rzeczywistości i nie pomaga w jej rewolucyjnej przebudowie. Ta formuła jest szersza niż inne bardziej szczegółowe, które są już w niej zawarte: że literatura zamyka się w wieży z kości sioniowej, że izoluje się, nie nadąża itd.

Powyższe sformułowania prowadzą do postulowania, zarówno przez wielu literatów jak i laików, literatury realistycznej jako jedynej, która może dać współmierny obraz aktualnej rzeczywistości obiektywnej społeczno-politycznej, przy czym zakłada się, że literatura realistyczna, z tym czy innym przymiotnikiem (humanistyczna, ludowa, optymistyczna, romanizująca itp.) dając obraz i prawdę obiektywną dzisiejszego naszego społeczeństwa tym samym będzie afirmatywna i użyteczna w społecznym i politycznym oddziaływaniu, że będzie tym samym wychowawcą.

W dalszym ciągu będę się starał wykazać wadliwość tego rodzaju rozumowania. Na wstępie jednak dwie uwagi formalne i raczej marginesowe.

12. Uwaga pierwsza: Jesteśmy społeczeństwem antagonicznym, w literaturze mamy zwalczające się tendencje i grupy. Choćby z grubsza biorąc katolicką i marksistowską. Często stosowana norma „opisuj obiektywną prawdę swojej epoki”, „opisuj bezbłędnie prawdę” jest zgodna zarówno z Ewangelią, jak i z tezą marksizmu, że w interesie klasy robotniczej jest prawda. Ale właśnie z powodu tej zgodności wartość tej normy dla praktyki pisarskiej jest żadna. Dla katolika oznacza ona po prostu: „pisząc bądź konsekwentnym katolikiem” dla marksisty: „bądź konsekwentnym marksistą”. Nie bronie tu relatywizmu prawdy — chodzi jedynie o logikę sformułowań. Każdego pisarza oczywiście obowiązuje jedna z tych prawd. Ale wobec tego nie może to być ogólna norma praktyczna dla naszej literatury, przynajmniej w obecnym stadium historycznym. Chyba, żeby ją traktować jako normę wyłącznie moralną.

Uwaga druga wiążąca się z powyższą: W nauce znane jest pojęcie błędu instrumentalnego. Kiedyś np. Wiktor Szklowski wskazywał na to, że tradycyjna powieść podobna jest do malowideł egipskich: ogromny bohater — Faraon, a reszta podana w stopniowo i znacznie pomniejszonych proporcjach. Toś, który latami dręczył się kwestią prawdy w literaturze, doszedł do przekonania, że literatura piękna jest kłamstwem.

13. Po tych sceptycznych uwagach wróćmy do rzeczy. Wiek znowu sprawa realizmu. Na wstępie natykamy się na sformułowanie Zoila ze słynnego mota w „Czerwonym i Czarnym”: powieść jako zwierciadło ustawione na gościńcu. Łączy się z tym w pewnym sensie wezwanie, rzucane w polemice zeszlorocznej przez Stefana Żółkiewskiego, tym razem ze św. Augustyna: aby pisarze szli na rynek. Gościńca prowadzą w różne strony, a rynek bywa, jak wiemy, różny. Czym jak nie zwierciadłem, na drodze jest tragiczna powieść Flauberta, rozpoczynająca czarny rodzaj literatury wstrętu i rozpacz — „Buvard i Pecuchet”? albo „Podróż do kresu nocy”? Wyjściem na rynek, wbrew pozorom, jest „Ulysses” Joyce’a. Pewnie, odpowiedź na moje wątpliwości jest łatwa: — „dlatego właśnie postuluje się nie naturalizm, nie realizm w ogóle, lecz realizm humanistyczny, ludowy, optymistyczny, czy romantyczny. Zwierciadło jest w porządku. Zwierciadło ustawione na drodze gnicia mieszczańskiego społeczeństwa francuskiego w połowie XIX czy XX w. pokazało nie tylko obraz tego gnicia, ale i samo gnienie i w konsekwencji daje pesymistyczny i antydemokratyczny efekt”.

Sięgniemy więc po inne argumenty. Istnieje bogata i dość zwarta literatura realistyczna, która daje wyjątkową możliwość uchwycenia i flagrantnie stosunku zwierciadła do rzeczywistości, i to ustawionego na różnych drogach, i to w skali rozległej. Mam na myśli literaturę niemiecką lat 1918—33, podkreślałam aż do 1933 r. Tu jest instantia crucis tych spraw.

Dla uproszczenia wyobraźmy sobie krytyka XXI wieku, który nie ma pojęcia o histo-

rii politycznej i ekonomicznej — tacy i dziś bywają — który w związku z postępującą specjalizacją nauki o literaturze — bada i zna wyłącznie beletrystykę światową lat 1918—1933. Porównując beletrystykę niemiecką tych lat z literaturą innych narodów, stwierdzi zgodnie z prawdą, że żaden naród nie miał tak bogatej ilościowo i jakościowo, tak żarliwej i tak popularnej (wysokie nakłady!) literatury pacyfistycznej i antywojennej. I to w najrozmaitszych odcieniach od chrześcijańskiego czy patrycjuszowskiego pacyfizmu do antywojennej literatury komunistycznej. Na tej podstawie — wierząc w teorię zwierciadła — obwieści, że spośród wszystkich narodów świata Niemcy byli najbardziej pokojowi, mieli najbardziej nieodpartą wstręt do wojny. Dalej analizując nadzwyczaj bogatą, zasobną w świetne talenty, niemiecką literaturę realistyczną lewicową, postępową i marksistowską, stwierdzi kategorię na podstawie obrazu rzeczywistości, jak i ta literatura daje, że Niemcy w końcu dwudziestych i na początku trzydziestych lat były w przededniu nieodwołalnej rewolucji społecznej, że burżuazja niemiecka z dnia na dzień traciła grunt pod nogami, że najszerze masy niemieckie, proletariąt, chłopstwo i znaczne odłamy drobnomieszczaństwa były silne, zwarte i gotowe z dnia na dzień dokonać rewolucji społecznej. Czytając wreszcie Tomasza Manna, który przecież był zbyt wielkim pisarzem, aby się mylił lub kłamał — stwierdzi, że i mieszczaństwo niemieckie nie było groźne, raczej słabe, wysubtelizowane, zneurotyzowane, że typowym, jak pisze dosłownie Mann w „Czarodziejskiej Górze”, reprezentantem młodych Niemców w latach międzywojennych był dobry, czuły, sentymentalny, chwiejny Hans Castorp, a przedstawicielem rzekomo groźnej młodzieży militarystycznej był niemniej wrażliwy, neurasteniczny i aczny jego kuzyn.

Zbytecznie mówić naszemu czytelnikowi, jak bardzo to odbiega prawda zwierciadła od prawdy obiektywnej. A bądź co bądź mieliśmy tam bardzo wiele zwierciadeł — i to w niebyłe jakiej ilości i niebyłe jakiej jakości — na gościńcu myśli bezwarunkowo postępowej.

To nie znaczy, że nie można w literaturze niemieckiej znaleźć żadnych antycypacji. Owszem, znajdziemy jakiś zarys prawdy o Niemcach, ale przeważnie w trzeciorzędnych powieściach nacjonalistycznych n. p. w antypolskich powieściach Bronnena, w krwawej jak jatka powieści „Die Geächteten”, z dużym talentem zresztą napisanej przez młodego uczestnika sądów kapturowych i ultramilitarystę Ernsta von Salamona. Te powieści nie chciały dać prawdy, one się po prostu same demaskowały. Wynaturzenia psychiki niemieckiej można było wysledzić u Ewersa, w poezji i prozie ekspresjonizmu, w ekspresjonistycznych rysunkach Otto Dix’a. Antycypacje, o jakich mówię, można oczywiście znaleźć również w utworach realistycznych lewicy, ale tylko w ulamkach, powytłakane w marginesy, i w zniekształconej proporcji.

14. Argumentów zresztą przeciw zwierciadlanej teorii realizmu można by przytaczać a przytaczać z podręcznika historii literatury, jak i z bieżącej praktyki. Nie znaczy to oczywiście, jak chce Tolstoj, że literatura zawsze kłamie. Albo, że zawsze błądzi. Niedawno Paul Eluard mówił z jakąś niezwykłą dla nas prostotą i siłą przekonania, że poeta nie może kłamać. Eluard ma rację. Pisarz, gdy kłamie, to w naj-



lepszym razie — takie już jest prawo twórczości! — rodzi efemerydy. Prawda jego jest w dziełach. Nie jest apriorycznie określona, realizuje się w samym procesie tworzenia. Przyrównać ją można do latarki, o jakiej pisze Tolstoj w jednej ze swych ulotnych rozpraw, gdy zestawia chrześcijaństwo z innymi religiami. Inne wyznania — powiada — są jak latarnie uliczne, póki się jest w kręgu ich norm, wiadomo jak należy postępować, ale o krok dalej zaczyna się mrok.

Chrześcijaństwo natomiast, ze swoim jedynym — według Tolstoja — nakazem miłości bliźniego, jest jak latarka, którą wszędzie ma się przy sobie.

Pisarz jest zawsze w poszukiwaniu własnej niegasnącej prawdy, zdobywa ją i traci, i znowu zdobywa. Do powstania bowiem trwałych dzieł literatury nie wystarczają latarnie ogólne, choćby najjaśniejsze i najprawdziwsze.

15. Ale po tym nieco mistycznym wtręcie, wróćmy do naszych rozważań. Nie twierdźmy bynajmniej, że ta czy inna powieść realistyczna nie może trafnie odtworzyć obiektywnej rzeczywistości społecznej, politycznej, gospodarczej, obyczajowej — przy czym, jak wszędzie w tej pracy, zakłada się, że pojęcie obiektywnej rzeczywistości pozaliterackiej jest jednoznacznie określone. Ale wtedy prawdziwość swoją zawdzięcza bynajmniej nie realizmowi! Nie metoda realizmu takiego czy innego stanowi o prawdzie utworu. Z równym, a czasem z większym powodzeniem prawdę epoki może wiernie oddać powieść psychologizująca czy nawet — horribile dictum! — ekspresjonistyczna. Np. doskonale wierny, o ile się orientujemy, obraz znacznego odłamu społeczeństwa francuskiego na przełomie XIX i XX w. dał Proust, elitarny i izolowany psycholog i bergsonista.

Co więcej, w samym utworze literackim nie znajdziemy żadnych kryteriów jego prawdziwości.

W istocie historycy i politycy — ci co robią historię, i znają się na obiektywnej prawdzie historycznej, wiedzą o względnej wartości prawdy, zawartej w utworach beletrystycznych. Szkoła co prawda, że nie ilustrują swoich tez cytacjami z poetów i prozaików, jak to czyniono w dawnych czasach, bo to i ładne i przekonujące. Ale kiepski to polityk, któryby się w swoich ocenach i prognozach opierał na powieści, choćby najbardziej udanej i realistycznej.

Literatura nie jest najlepszym instrumentem poznawania prawdy o rzeczywistości obiektywnej i aktualnej — nie wytrzymuje pod tym względem konkurencji opisu naukowego. Podobnie jak portret malarski, jeżeli chodzi o zewnętrzne podobieństwo, nie wytrzymuje konkurencji fotografii. Upatrywać najważniejsze powołanie pisarzy w dostarczaniu adekwatnej wiedzy o przebiegu reformy rolnej, itp., to jest to samo, co żądać od ogółu malarzy, aby malowali nade wszystko portrety „jak żywe” przodowników pracy.

„Zgoda, odpowie czytelnik, ale program, rozprawa, statystyka nie uoaczni tak sugestywnie swoich tez, nie pokaże rzeczywistości obiektywnej tak poglądowo w obrazach i parabolach”.

Naturalnie, ale po pierwsze: unaoacznie w obrazach nie jest przywilejem wyłącznie realizmu, a parabola jest właściwsza raczej innym rodzajom literatury; po drugie — co ważniejsze, są to środki pokazania, wyrażania, propagowania prawdy rzeczywistości, ale nie są to środki jej poznania. Na to słyszą aż nadto często odpowiedź: „środki poznawania pozostawiam innym, niech pisarz czerpie swoją wiedzę z gotowych przemysleń i doświadczeń, z praktyki i teorii klasowej. I niech tę prawdę, już gdzie indziej ustaloną, pokaże w obrazach i zilustruje”.

Pomijam już to, że jako środek propagowania prawdy realizm jest znacznie mniej wartościowy np. od romantyzmu. Bo można i tak, jak: podać w owej odpowiedzi. Ale wtedy dostaje się w rezultacie ilustratorstwo, literatura stosowana, a nie literaturę pełnowartościową, samodzielną, otwierającą nam jak najszerszą oczy, przerabającą nas do głębi, nie literaturę, do jakiej wszyscy pospół wzdychamy. Dostaje się w rezultacie powieść usługowa ale ma’owartościowa. Pisarz musi bowiem pracować samodzielnie, na własne ryzyko i odpowiedzialność, z wielkimi luzami — tak już niestety jest! — musi do prawd swoich dojść nie mechanicznie, lecz samodzielnie w procesie tworzenia choćby był w swoich poglądach najbardziej oddanym wyznawcą prawd dokładnie już ustalonych.

Tym się tłumaczy np. współczesny rozkwit i sukces powieści psychologizacyjnej: literat uzyskał tu znacznie lepsze środki i instrumenty poznania — środki introspekcji, poznania siebie, poznania prawdy psychologicznej, mniej obciążone błędami instrumentalnymi niż obserwacja, która najczęściej prowadzi do naturalizmu, a w konsekwencji do impasu i negacji.

Oczywiście, posiadanie sugestywnych środków wyrażania rzeczywistości jest kapitałem

społecznym, który nie powinien dla społeczeństwa być zmarnowany. Ale o tym później.

16. Jako walny argument za realizmem przytacza się często Balzaka. Jego prawdziwość ma poręczenie Karola Marksa. Przy tym wskazuje się często, że Balzak dał wierny obraz młodego kapitalizmu francuskiego pomimo, że sam był reakcjonista. To „pomimo” jest rozmaicie interpretowane i dosyć kłopotliwe. Warto tu wspomnieć, że jeden z najcięższych umysłów i najświetniejszych krytyków, współczesny Balzakowi Bieliński uważał, że świat dawnego zapomniał o Balzaku, kiedy jeszcze będzie jaśniała pełnym blaskiem gwiazda George’a Sand. Zwiódła go zapewne owa reakcyjność osobistych poglądów Balzaka i postępowość George’a Sand (przestroga dla krytyków wszystkich czasów). Nie zwiódło to piszącego o tym później sine ira et studio Karola Marksa.



Jak już rzekłem, pisze się często, że Balzak dał prawdziwy obraz epoki pomimo a nawet wbrew swoim reakcyjnym poglądom. Otóż wydaje mi się, że nie „wbrew”, ale może — może — „dzięki”. Po prostu dzięki temu, że był bezkompromisowym krytykiem tego społeczeństwa, chociaż i z pozycji Prawicowych. Chodzi mi o to, że wielka powieść, zwłaszcza realistyczna, i dowodzi tego zarówno Balzak, Stendhal, Hugo, Flaubert, Tolstoj, Dostojewski, Gogol, nawet Dickens — żeby wymienić największych, nie mówiąc już np. o przedwojennej i współczesnej powieści amerykańskiej i t.d. i t.d. — czerpała swoją siłę i swoją prawdziwość z krytycznego stosunku do opisywanej rzeczywistości. Bo powieść, zwłaszcza realistyczna, jest przede wszystkim krytyką, jeżeli nie z istoty — co trudno byłoby udowodnić — to przynajmniej w tym kierunku udoskonaliła ona swoje narzędzia, stworzyła tradycję i tu osiągnęła swoje największe triumfy w w. XIX. Dlatego tak niewiele można wymienić powieści afirmatywnych. Dostojewski jest przykładem, że z powieścią afirmatywną bywa nieraz jak z oslicą Balaama, błogosławieństwo obraca się w przekleństwo i na odwrót.

Szukając donioślejszego nurtu powieści czy opowieści afirmatywnych, należy zapewne sięgnąć bardzo wstecz, może nawet do w. XIII, do literatury apologetycznej, do romanu i eposów bohaterskich. Ale pisarz już dawno przestał być bardem i to jest nieodwracalne. Zresztą nawet w stosunku do tych wieków zaleca się zachować ostrożność: Carducci np. twierdzi, że chrześcijaństwo nie było w stanie stworzyć ani wielkiej eposu, ani dramatu chrześcijańskiego.

Łączy się z tym problem tzw. „pozytywnego bohatera”. Na kilka lat przed wojną toczyła się na ten temat polemika w jednym z francuskich czasopism literackich. Mauriac, analizując długą listę bohaterów powieściowych, wykazał (na własne zresztą usprawiedliwienie) że bohaterowie pozytywni nigdy nie naprawde powieściopisarzowi nie udawali, że są oni albo negatywni, albo papierowi. Wydaje mi się, że tu należałoby wprowadzić poprawkę. Z wyjątkiem bowiem nielicznych bohaterów zdecydowanie negatywnych i znacznie mniej licznych pozytywnych, większość bohaterów powieściowych jest niejako ambiwalentna. Np. Don Kichot, Hamlet, czy Faust — są negatywni czy pozytywni? Na ten temat wypisano morze atramentu. Oceny w tym względzie są nie tylko zmienne — zależnie od czasu i środowiska — ale i wieloznaczne nawet ze stanowiska jednoznacznie określonego systemu Pojęć.

17. Przejdźmy jednak do drugiej części naszego postulat realizmu (p. 11), że literatura, ściślej mówiąc powieść realistyczna, aktualna, prawdziwa i afirmatywna w stosunku do naszej rzeczywistości obiektywnej, społeczno-politycznej, tym samym będzie też służyła tej rzeczywistości, że będzie użyteczna społecznie i politycznie.

Niedawno Julian Benda w jednym z artykułów stawiał pisarza przed alternatywą: świat obserwować, czy go zmieniać. Jest to oczywiście niestuszne, zdaje się, że tu na

Będę wpłynęła analogia z fizycznym prawem nieoznaczoności. Jednak należy sobie zadać pytanie, czy w powieści prawda działa wychowawczo?

Na Zjeździe Literatów we Wrocławiu ktoś powiedział w dyskusji, że nie można pisać powieści realistycznych, bo nie pozwolą, bo prawda jest niewygodna itp., itp. Pomijam tu merytoryczny błąd w ocenie naszej rzeczywistości. Jest w tym ponadto uproszczenie. Nie o to chodzi, że cenzura nie pozwoli. Z cenzurą można sobie jakoś poradzić, zresztą wiek XIX wykwalifikował naszą literaturę w omijaniu trudności cenzuralnych. Tu jednak chodzi o samo społeczeństwo. Czy, aby uzdrowić społeczeństwo, należy mu powiedzieć prawdę o nim? Lekarze leczą czasem tiki za pomocą lusterka, w którym każą się pacjentowi ciągle przeglądać. Jest to jednak kuracja ryzykowna: pacjent albo się wyleczy, albo się zatnie w tikiach ostatecznie. Dla ilustracji przytoczę demagogiczny wypadek jaskrawej, wzmianki z gazety („Głos Wielkopolski”, 23.XII.47):

„Dla zdobywania butów i ubrania kilkunastoletni chłopcy zamordowali kolegę.

W piątek, 12 bm. zdał z kościoła w Chodzieży na rowerze 17-letni Jurgowiak Edmund. W odległości 1 km od miasta przyłączyli się do niego dwaj koledzy szkolni, 17-letni Schewe i 17-letni Morastew, i cała trójka zdała pieszo szosą wśród lasów, prowadząc swoje rowery. W pewnej chwili dwaj towarzysze przystąpili do wykonania morderczego planu, pragnąc zdobyć przede wszystkim nowe wysokie buty, zakupione ostatnio za 40.000 zł.

Jak stwierdziły oględziny lekarskie uderzyli oni Jurgowiaka tępy młotem w czaszkę, następnie wbili nóż w lewą i prawą skroń. Ślady wskazują, że mordercy zawlekli swoją ofiarę kilkadziesiąt metrów w głąb lasu i tam rozebrali z kurtki, ubrania i butów, poczyniwszy warstwę włókna kilkucentymetrową warstwę ziemi oraz mchem — zabrali rower i odeszli. Sp. Jurgowiaka znaleziono z zaciśniętymi jeszcze na szyi szelkami. Głowa była zmasakrowana, twarz zakrzepła w krwi. Kiedy zarządzono pościg, zbrodniarze ułotnili się już z domu.

Oczywiście, jest to wypadek wyjątkowy, krańcowy, zdarzający się w każdym społeczeństwie, tym bardziej zrozumiały po okupacji i po naszej swojskiej edukacji leśnej, ale przede wszystkim literatura jest od wypadków wyjątkowych i krańcowych, secundo: chodzi mi o brutalne obrysowanie zagadnienia.

Co ma pisarz robić z takim wypadkiem? Oczywiście, wyobrazić sobie wielkiego moralistę, który umiałby wstrząsnąć sumieniami. Ale normalny pisarz, jeżeli napisze na ten temat powieść, to czy będzie ona społecznie wychowawcza? Czy gdyby Schewe i Morastew czytali powieść o takiej zbrodni, to czy — bodaj w jakimś małym stopniu — powstrzymałoby to ich od morderstwa? A może trochę — trochę na odwrót? Znam inteligentnego, zupełnie normalnego młodzieńca, który wyznał mi, że po przeczytaniu „Lochów Watykanu” i „Falszery” miał ogromną pokusę zamordowania jednego z kolegów. W drukowanej niedawno w odcinku „Robotnika” powieści Rudolfa Franka o Cervantesie jest uderzająca scena: więziony pisarz czyta współwięziom, zbrodniarzom i prostytutkom, ową piękną scenę z „Don Kichota”, w której rycerz Smutnego Oblężenia uwolnił bandę więźniów, a w podzięce został przez nich okradziony i zamaltretowany. I oto stwierdza z gorzkim zdumieniem, że słuchacze rechoczą z zadowolenia i aprobaty, że na pewno zrobiłoby to samo, co tamci.

Powołajmy się zresztą na klasyczne świadectwo, na Szekspira, który się na tym dobrze znał. Pamiętacie, jak Hamlet w sztuce teatralnej, przed ojczymem odegranej, przedstawia obraz zbrodni, przez niego popełnionej. Czy zbrodniarz jest choć trochę skruszony? Na odwrót wpada w szal, knuje zemstę.

I odwrotnie, jest w Hamlecie jeszcze jedno często cytowane miejsce, dotyczące oddziaływania sztuki. Aktor deklamuje o cierpieniach Hekuby z takim wzruszeniem i przejęciem, że wywołuje replikę trzęźwego Hamleta: co tobie Hekuba i co ty Hekubie? Dawni estetycy, bodaj od Schopenhauera, wskazywali na bezinteresowność jako na warunek przeżywania estetycznego. Bezinteresowność osobista, która nie wyklucza zaangażowania ideowego. Grecy, którzy się znali na oddziaływaniu sztuki, szukali wychowawczego oczyszczenia, „katharsis” nie w sztukach realistycznych. Tak samo i kościół katolicki, umiejący wykorzystać fascynację, jaką daje sztuka, posługuje się nie realizmem, lecz parabolą i symbolem.



Ale mój krytyczny czytelnik odpowie, że przytoczone przykłady dotyczą zbrodniarzy, a nie normalnego społeczeństwa, które, jak każde inne, ma światła i cienie. Ze w społeczeństwie naszym działa wiele dodatnich walorów: twardość, niemożna pracowitość, ofiarność, energia, zaradność, optymizm, patriotyzm i, wbrew pozorom, silne poczucie solidarności. Ze te walory należy pokazać, aby oddziaływały wychowawczo, aby je nie-

jako umocnić. Zło zaś pokazywać w dawkach, odmierzonych przez pedagogię społeczną, i w takiej postaci, aby je zbrzydzić.

Któryś z posłów na ostatniej sesji budżetowej domagał się, aby m. in. literatura pomogła przekształcić psychikę polską w kierunku gospodarczym, produktywnym. To wszystko jest niewątpliwie słuszne! Ale mówiliśmy o tym, że literatura wychowawcza musi być przy tym realistyczna i opisująca aktualną prawdę obiektywną. Otóż prawda w literaturze obowiązuje w całości, bez podziału na dodatnią i ujemną. Więc jednak do pewnego stopnia i w pewnych granicach alternatywa: albo wychowywać, albo opisywać prawdę.

18. Zatrzymajmy się jeszcze przy sprawie oddziaływania literatury. Bez wątpienia, są pozycje, które odegrały dużą rolę w życiu społeczeństw: „Emil”, „Marsylianka”, „Chata Wujka Toma”, „Zbójcy”, „Historia Żyrodystów” Lamartine’a, Trylogia — żeby wziąć przykłady najbardziej typowe i z różnych dziedzin. Na ogół przyzwyczajeni z lat niewoli do literatury, która spełniała najistotniejsze funkcje narodowe i polityczne, jesteśmy wciąż pod nieco przesadnym wrażeniem, że literatura wywiera wybitnie doniosły wpływ na życie społeczeństwa. Jeżeli znowu przyjrzymy się niemieckiej literaturze postępowej do 1933 r., to stwierdzimy, że mimo bogactwa i dużego kalibru, miała ona wpływ na umysły i uczucia Niemców mniejszy, niż — dajmy na to rytym i słowa Horstwessellieda, a w każdym razie słabszy niż chamskie tępe przemówienia führera. Gdy będziemy badać oddziaływanie literatury, to stwierdzimy, że największy wpływ społeczny wywiera literatura bynajmniej nie najlepsza, ale specyficzna i właściwie drugogatkunkowa. Wokulski nie wytrzymuje konkurencji z ordynatem Michorowskim. „Granica” Nałkowskiej znacznie mniej oddziaływała niż „Kariera Nikodema Dyzmy” — i to bynajmniej nie z powodu niskiego poziomu mas czytelników. Nie podobnego! Są kicz filmowe, szlagiery piosenkarskie i powieści, które wyciskają łzy z oczu wyrafinowanych intelektualistów. Komiczne sceny, jak w pokazywanym niedawno starym, genialnie idiotycznym filmie z Maxem Linderem, zmuszają do paroksyzmu śmiechu najbardziej obytego wotrobiarza. Po prostu dlatego, że istnieje możliwość do określenia sztuka, pewna ilość recept wrzucenia, poruszenia i w ogóle oddziaływania na czytelnika, widza czy słuchacza. Sztuka ta jest przeważnie właściwością literatury niższego gatunku, może m. in. i dlatego, że aby trafić, musi wyłączenie ten cel mieć na oku, musi zrezygnować z innych celów, które przyswajają prawdziwemu artyście. Jest to — w pewnym sensie — to, co zapomniany dziś Witkacy nazywał „Sztuką bebeczową”.

Wynikałoby z tego supozycja o praktycznej doniosłości. Mianowicie sądzę, że politycy, zainteresowani w sprawach społecznego i praktycznego oddziaływania literatury, mogą z liberalną tolerancją traktować różne tendencje artystyczne i filozoficzne, przejawiające się w literaturze wysokiej klasy, natomiast mają prawo i powinni dbać o zdrowy rozwój i użyteczność wychowawczą literatury drugorzędnej, stosowanej, i kontrolować ją. W tej chwili działają skłonności odwrotne: prasa nasza patrzy przez ideologiczny mikroskop między wiersze prozy Iwaszkiewicza, natomiast mniej zwraca się uwagę, że obok pełni się w najlepsze literatura o znacznie większym masowym oddziaływaniu, bezwarunkowo szkodliwa, zaśmiecająca umysły i wyobraźnię masowego czytelnika. W dodatku na napisanie „Granicy” nie ma recepty, natomiast jest na „Karierę Nikodema Dyzmy”. Ale, jak słusznie pisał Dobrowolski, u nas teatry nie grają drugogatkunkowych sztuk polskich autorów, ponieważ czekają na polskiego Szekspira, a światlice domagają się jednoaktowego, ale koniecznego Hamleta. W oczekiwaniu na te arcydzieła, opęda się potrzeby kulturalne mas najgorszą szmirą. To są rzeczy, w sposób naturalny i bez ryzyka nadające się do planowania.

19. Od czasu do czasu pojawiają się w dyskusjach literackich terminy i pojęcia, które na razie budzą teoretyczne namietności, lecz szybko ulegają zapomnieniu. Kto dziś, z wyjątkiem prowincjonalnych dziennikarzy, wspomina takie pojęcia jak realizm humanistyczny, zamówienie społeczne, proza amorficzna? A ile one krwi napuły! Dla odmiany pojawiają się za to nowe. Ostatnio np. mówi się wiele o optymizmie ludowym, podział literatury na optymistyczny i pesymistyczny. Podział ten jest zrozumiały, bo politycznie celowy we Francji, gdzie krzewi się czarna literatura rozpacz, gdzie społeczeństwo rządzone jest przez katastrofistów, gdzie straciło ono swoją spontaniczność i energię. Ale u nas zasada tego podziału jest nie tylko fałszywa ale niecelowa.

Trzeba przede wszystkim odróżnić, czy chodzi o optymizm czy pesymizm zawarty w utworze, czy też o optymistyczne względnie pesymistyczne oddziaływanie. Bo nie są to bynajmniej rzeczy identyczne. Tu są możliwe wszelkie kombinacje tych czterech elementów. Jeżeli mówić o samym utworze, to na skali optymizmu — pesymizmu ogromna większość literatury mieści się gdzieś bliżej środka. Czy „Don Kichot”, „Czerwone i czarne”, „Wojna i pokój”, „Bracia Karamazow” itd. itd. są optymistyczne czy pesymistyczne? Oczywiście zależy to od sensu, jaki nadajemy tym pojęciom, sądzę jednak, że zgodzimy się, iż utwór w którym jest racja istnienia ludzkiego i sens walki o dobro, jest utworem optymistycznym.

Sprawa się o wiele bardziej komplikuje, gdy przejdziemy do oddziaływania optymistycznego czy pesymistycznego, przy czym działaniem optymistycznym nazwiemy takie, które pobudza nas do istnienia i do działania. Tu nie tylko ogromna większość jest pośrodku, ale graniczne wypadki, o których można by bezapelacyjnie i intersubiektywnie powiedzieć, że działają tak czy inaczej, są zdumiewająco nieliczne. Ja, na przykład, do bezwzględnie działających pesymistycznie książek zaliczyłbym apostołujące „Biesy” Dostojewskiego, zaś do optymistycznych — „Naśladowanie Chrystusa” św. Tomasza à Kempis. Ale kto mi w tym przyzna rację? Są to sprawy bardzo powikłane, bardzo zmienne, a najczęściej zależne od chwili i osoby.



Nie oprę się pokusie powtórzenia zabawnego incydentu z Wrocławskiego Zjazdu. Podczas dyskusji na temat optymizmu — pesymizmu wyrwałem się na parter na kawę i tam zafrapował mnie tytuł w pozostawionej przez kogoś gazecie „Sport”: „Dla czego filozofia Schopenhauera? Moje najprzyjemniejsze wspomnienie... Napisal Jo Weidin, champion turnieju w Brukseli... Jo Weidin, bokser, interesujący się filozofią, pisze m. in. dosłownie: „Jako amator stoczyłem 60 walk. Jako zawodowiec... Nim jednak wyszedłem na ring — zaczytywałem się. Przede wszystkim w Schopenhauerze. Jego filozofia jest smutna, pesymistyczna. Ale jest spokojna, przez to, że doradza wyzbycie się namietności i cierpienia, a dla mnie ma główną wartość w tym, że uznaje wolę człowieka jako istotę i motor wszystkich rzeczy. W wilię dnia, w którym miałem stoczyć najcięższy i decydujący o mojej przyszłości mecz z Olkiem w Brukseli, czytałem Schopenhauera. Z jego filozofii czerpił spokój wewnętrzy i zdolność koncentracji i to co zdaniem krytyków nie dopisywało u mnie: wolę oporu i wytrzymałości”.

Więc to stary pesymista i miłośnik Nirwany Schopenhauer krzepi wolę oporu i wytrzymałości boksera. Spiritus flat ubi vult. Niech się nad tym zastanowią wszyscy, którzy się problematyką oddziaływania społecznego zajmują.

20. Zależnie brzmi hasło podpierania realizmu romantyzmem. Autorzy nowego u nas sloganu nie przemysłili zapewne zagadnień romantyzmu, nie uprzytomnili sobie, że elementem podstawowym nie tylko stylu i filozofii, ale i usposobienia romantycznego jest hyperbolizowany egotyzm, (choćby i cierpił za miliony), z natury swej antyspołeczny i antyracjonalistyczny. Polecam im uważną lekturę choćby szyllerowskich „Zbójców”, utworu, który pomimo swej jawnej niedorzeczności jako koncentrat romantyzmu fascynował kilka pokoleń, zwłaszcza młodzieży. Romantyzm m. in. polega na egzaltowaniu praw jednostki i bezwzględny jej przeciwstawianiu z sankcją moralną, zastanej zbiorowości. Hitlerizm — w płaszczyźnie kultury — jest wynaturzonym skądinąd spadkiem niemieckiego romantyzmu. Naturalnie, styl romantyczny ma dużą siłę agitacyjną, daje retorykę wielkich namietności, porusza drżnięcy w każdym nurci uczuć egotystycznych, tzw. wolę mocy — ale takimi środkami mogą dziś posługiwać się ruchy polityczne bez przyszłości, nie aspirujące do wielkiej konstruktywnej i dalekośledzącej koncepcji kultury, do koncepcji wychowania społecznego.

21. Aby wybrnąć z trudności, jakie nastęrcza praktykowanie realizmu w naszym układzie społeczno politycznym odgrada się go kategorycznie od naturalizmu czy tzw. małego realizmu, odrywa się go od podstaw empirycznych. Więc pisarz realista, opisujący teraźniejszość, powinien antycypować przyszłość, widzieć aktualną rzeczywistość w jej dialektycznym stawianiu się, w procesie przewycięzania ziego — starego przez dobre nowe, w dialektycznej walce dobrego ze złem, w której to walce zabezpieczona jest przewaiga i zwycięstwo dobrego. A więc realizm zbliżony do tego znaczenia jakie nadawała temu terminowi filozofia scholastyczna: universalia sunt anteriora particularia. Ale co ma konkretnie robić beletrysta z uniwersaliami? Czy jak Stwórca neoplatoników emanować je w stopniowym wcielaniu w rzeczywistość? W końcu sprowadza się to w praktyce chcąc nie chcąc do dobrze znanego schematu eschatologicznego: walka dobrego ze złem, wybrani i potępieni, sąd ostateczny i triumf ze zbawieniem. Ze jest to schemat eschatologiczny judaizmu i chrześcijaństwa, że posługiwały się nim na przestrzeni paru tysięcy lat ruchy religijne i społeczne, to oczywiście nie kompromituje go, owszem, świadczy o powszechności i sile działania. Ale co ma z tym robić konkretnie dzisiejszy beletrysta? Nie przeczę, że można z takim schematem napisać jedną czy dwieście dobrych powieści, ale co dalej? Ostatecznie, cały rozkwit literatury świeckiej powstał jeśli nie dzięki, to w toku burzenia tego schematu, podobnie jak rozkwit malarstwa nowoczesnego wynikał z przewycięzaniem wspaniałych skądinąd kanonów bizantyjskich. Tak też, w pewnym sensie, dzieje literatury są procesem stopnio-

wego uwalniania się z kanonów, reguł i konwencji. To jest proces — moim zdaniem — historycznie nieodwracalny.

22. Żeby uchronić powyższe wywody od niewłaściwego rozumienia, do czego daje aż nadto asumpt stosowana przeze mnie metoda przejawiania:

1. Nie twierdzę, że przedstawienie prawdy obiektywnej jest nieosiągalne dla pisarza. Albo że nie jest jego powołaniem! Ale twierdzę, że realizm w dzisiejszej naszej sytuacji nie jest wyłącznym i nie jest najlepszym ku temu środkiem. Wchłonać, zogniskować i wyrazić wiernie prawdę czasu! aby zbliżyć się do tego, pisarz współczesny musi w najwyższym napięciu sił duchowych oraz w najwyższym napięciu solidarności społecznej, myśli społecznej, uczuć społecznych, ba! miłości społecznej, zharmonizować nonkonformistycznie swoją prawdę wewnętrzną, prawdę swoich myśli, wyobrażeń i uczuć, z prawdą obiektywną, społeczną. Trud okrutny, naprawdę tytaniczny! Czy wyrazi ją następnie w powieści realistycznej, czy psychologicznej, czy w symbolicznej parabolii poetyckiej — to nie ma istotnego znaczenia! Przypisywanie znaczenia ideologicznej formie — która jest albo technika (nowela, sonet itd.), albo abstrakcja, którą a posteriori określamy dosyć dowolnie pewne wspólne cechy zjawisk i faktów literackich, albo zawołaniem normą, którą proklamują protagoniści nowych szkół i kierunków literackich — jest kukulczym jajem, podręcznym marksistom w literaturze przez formalistów.

2. Poza funkcją poznawczą literatura ma funkcję wychowawczą, do czego najlepiej jednak nadaje się raczej literatura ambicyjnie drugogatkunkowa, stosowana, która jest niesłusznie u nas w pogardzie i przejawia się w najgorszej postaci, a którą można planowo rozwijać i uszlachetniać.

3. Przecież literatura ma jeszcze wiele innych funkcji, które są mniej widoczne, ale które są nieodzowne dla humanistycznego rozwoju jednostki i społeczeństwa, o czym pokrótce wspomnę, zmierzając wreszcie ku zakończeniu — nie odrazu, nie odrazu — tych zbyt długich rozważań de omnibus rebus et quibusdam aliis.

23. Osobiście podzielam gust Ważyka do starej solidnej dobrej powieści, z fabułą, konwencją, rygorami i regulami gry — do dobrej prozy Stendhala, Mereditha, Dickensa; bardzo nie lubię powieści rozluźnionych, amorficznych. Ale ostatecznie jest to zapewne kwestia gustu. A może nawet — no, choć trochę, przejawem staroświeckości bytów pierwszych w Polsce wysłużonych awangardzistów? Nie widzę dostatecznych powodów ideologicznych, aby eliminować prozę rozluźnioną, a nawet impresjonistyczną czy ekspresjonistyczną.

Czytam teraz książkę, jedną z piękniejszych, jakie napisano w w. XIX, książkę o pięknie nieprzedawnionym. Powieść? — tak, mimo wszystko powieść. Jest to jedna z najbardziej amorficznych powieści, jakie znam: pamphlet, opowieści sentymentalne, korespondencja urzędowa, pastiche romantyczne, reportaż, obrona własna urzędnika, oskarżonego o nadużycia, wiersze liryczne, komentarz autorski, rozważania filozoficzne, przypowieść ludowa — czego w niej nie ma? kuchnia literacka A. T. E. Hoffmana wydaje się przy niej pod tym względem uboga. Wrażeniami opowieści sentymentalnej o tragicznym losie Malajczyka Saidiaha, autor na końcu przyznaje, że postać ta jest zmyślona. Ale: „czyż kłamiwe jest porównanie z miłośniernym samarytaninem dlatego, że może nigdy ograbiony podróżnik nie został gościnnie przyjęty w domu samarytańskim? Czy kłamiwa jest parabola o siewcy dlatego, że żaden rolnik nie będzie wysiewał ziarna na skałę? Albo — schodząc do poziomu, na jakim stoi moja książka — czy prawda, stanowiąca istotę rzeczy „Chata Wujka Toma”, nie może być uznana dlatego, że Ewangelina nigdy nie istniała? Czy będa mówili do autorki tej nieśmiertelnej obrony — nieśmiertelnej nie ze względu na artystyczny talent, ale z powodu tendencji i wpływu — czy powiedzą do niej: „Skłamałaś, niewolniczy nie są katowani, bo twoja książka jest nieprawdziwa, to romans!” Czyż i ona nie musiała, zamiast wyciecznika suchych faktów, ustroić te fakty w fabule, aby zrozumienie konieczności poprawy przeniknęło głębie serc? Czy czytanyby jej książkę, gdyby nadała jej postać dokumentu? Czy to jej wina — albo moja — że prawda, by znaleźć dostęp, musi tak często zapożyczać szaty kłamstwa?”

I gdzie indziej: „Nie zależało mi bowiem na tem, żeby pisać dobrze. Miałem napisać tak, żeby mnie wysłuchano. I zupełnie tak samo, jak ktoś, który woła: „Łapaj złodzieja!” mało dba o styl swego zaimprovizowanego okrzyku do publiczności, tak też i mnie objętym jest, w jaki sposób osadza jak krzyknąłem swoje „Łapaj złodzieja!”

„Książka jest rozwichrzona... nie ma w niej jednolitości... pogoń za efektami... styl jest zły... Autor niezreżny... bez talentu... bez metody...”

Dobrze, dobrze, zgadzam się na wszystko! Ale Jawajczyk jest gnębiony!”

Gdyby mnie pytało o wzory dla młodzieży literackiej nie mówilibym o podręcznikach, w których skatologowano wszystkie powieści, znane 48 wariacji tematu zazdrości, ażeby młodzi adeptci szukali 49-ej! Wskazałbym przede wszystkim na powieść Multatuli — Douwesa „Max Havelaar”, prawdziwą choć nierzeczywistą, pozbawioną rygorów, norm, rzemiosła, literacko-eklektyczną, bez stylu, rozwichrzoną, „zle napisaną” jak stwierdzili współcześni krytycy, polityczną i nawskroś tendencyjną. Jej nieprzedawnione

opartym na rytmie form, gdzie panowało centralne rozłożenie przedmiotów, grawitujących dookoła środka.

Deformacja w malarstwie jest również koniecznością dla uzyskania „swobody w budowie obrazu“ przez uproszczenie elementów formy, sprowadzenie ich do geometrycznych stosunków i proporcji najbardziej wymierzalnych obiektywnie. Deformacja uczuciowa i ekspresyjna wprowadziła do sztuki zupełną dowolność środków malarskich. Uwolniła wprawdzie sztukę od skrepowania, jakie było spowodowane wyobrażeniem przedmiotowym, odegrała wielką rolę przez przewaloryzowanie zdobytych nowoczesnych, ale jed-

nocześnie zindywidualizowała sztukę i przez poszukiwanie subiektywnego wyrazu stała się niezrozumiałą dla odbiorcy i zagubiła swoje audytorium. Jaką drogą ma ona nawiązać nowe kontakty? Może to się stać przede wszystkim przez zobiektywizowanie formy i koloru, przez sprowadzenie formy do prostego geometrycznego kształtu, jasnego i wyraźnego, i kolorów do bardziej określonych i zdecydowanych.

Kształt nieokreślony o sejsmograficznym charakterze wywołuje różne reakcje uczuciowe u różnych ludzi. Kształt geometryczny, koło, kwadrat, trójkąt działa jednakowo na wszystkich. Te same reakcje subiektywne

wywołuje niezdecydowany kolor, który powstał ze zmieszania różnych kolorów, natomiast barwy zasadnicze, czerwona, niebieska, żółta są najbardziej obiektywne. Przez wprowadzenie prostej, elementarnej formy sztuka staje się zdyscyplinowaną, koordynującą poszczególne wysiłki. Indywidualizm, opierający się na absolutnej wolności i swobodzie, nigdzie nie prowadził i niczego nie uczył, kontemplując swoją własną realność i zonglując subiektywną wrażliwością. W tej sztuce artysta nie nie „mówił“, wyrażał tylko siebie za pomocą kolorów i linii ekspresyjnej. Sztuka poszukująca zasad konstrukcji dzięki swoim rygorom i opanowaniu

umożliwia zbiorową współpracę i wytwarza wspólny nurt w systematycznym rozwijaniu problemów. Jej charakter poznawczy i odkrywczy wyraża się w ujmowaniu zjawisk wzrokowych w system formy, w poszukiwaniu prawa harmonii, które rządzi mechanizmem oka. Sztuka ta stwarza obiektywne środki porozumiewawcze z odbiorcą, kształtuje jego oko i umysł, uwrażliwia je na proporcje proste, narzuca „jedność widzenia“ ujętego w ramy systemu.

Przez deformację ekspresyjną odbywał się stały proces odprzedmiotowienia malarstwa i wyzwolenia go od opisowości.

Henryk Stażewski.

Antyzoil albo rekolekcje na zakończenie roku

(Dokończenie ze str. 5-tej)

A. nasza Orzeszkowa, która absolutnie „nie umiała“ pisać, a mimo to jest niewątpliwie wielką naszą pisarką. „Zapiski“ Przybosa, poety kameralnego i precyzyjnego głoszą, że awangardzista musi umieć napisać normalną wiersz. Czyliż to nie jest kompromitujące dla nowatora wyznanie? Czy nie daje ironicznego wglądu w warsztat pedantyczny: najpierw napisz wiersz „normalny“, tradycyjny, a potem „udziwniaj“ go, „udziwniaj“ każde słowo, „udziwniaj“?! Pewnie, Picasso potrafi zrobić rysunek renesansowy, ale Utrillo, czy Rousseau? Tak jest w malarstwie, gdzie bądź co bądź obowiązuje pewna technika rzemieślnicza, są szkoły, akademie. Cóż dopiero w literaturze! Często właśnie z nieumiejętności, z mankamentów rodzą się trouvaillies wszelkiego rodzaju, nowe sposoby, a nawet nowe szkoły i nowy styl. Dodatnie i ujemne. Odkrycia i nowe dalsze mankamenty! Nieumiarowana metaforyzacja na przykład, będąca obciążeniem ogromnej części naszej literatury, nie tylko poetów, ale i prozaików i krytyków, wynika częściowo z nieumiejętności operowania takim językiem jak: zrobił, wstał, Kocham cię, Nieumiejętność to przeważnie nawet nie techniczna, raczej wynika z zahamowań. Bo wciąż jeszcze działa przeklęta spuścizna „Młodej Polski“, szkolidławszej u nas niż analogiczne prądy gdzieś indziej, bo bardziej uporczywej, partycularnie krakowskiej, bardziej artystowskiej, panującej dłużej i co gorsza niemal bezkonkurencyjnie. „Młoda Polska“ wyodrębniła z języka inteligencji wyszuczniejszą mowę poetycką — w okresie historycznym, który się już najmniej do tego nadał, w którym gdzieś indziej działały już odwrócone procesy sprzaizowania języka poetyckiego — i w następstwie skazała następne pokolenia na utratę bezpośredniego stosunku do słowa, na sztuczny cudzołowny do niego stosunek, na sterylizującą zahamowania, na wstyd językowy — wstyd za słowo i wobec słowa, czy też na kult słowa czy zdania, — jest odwrótną stroną tego samego medalu, — słowem na wyjąłwiające obracanie się w kręgu stylizatorstwa językowego, o którym pisał Ważyk.

— naogół zapomnieli, z wyjątkiem dzielnicy pamiętnikarstwa obozowego.

26. A może i artyzanie, w ilości powiedzmy mocno zredukowanej, na coś się tam przydadzą? Zapewne, kto interesował się genetyką utworów literackich, wie jak doniosłą, zapładniającą rolę odgrywa literatura marginesowa, drugoplanowa, albo i dziwaczna. Pisał o tym przekonująco Saint Beuve. Niedawno w pismach francuskich stwierdzono, że Marsylianka jest częściowo parafrazą mało znanego i o 150 lat wcześniejszego poematu „Opera“ samego Boileau. Sam zaś Boileau — to pozycujące memento dla Zoliów! — ile on przez swoją eliminację zwinął, ile on „położył“ poetów, których się dzisiaj odkrywa, których nazywa się oficjalnie w historii ofiarami Boileau, „les victimes de Boileau“. Iiu autorów zapomnianych, częściowo dziwacznych, częściowo artyzanych, złożyło się na Fausta, na Don Kichota, na Szekspira! Ile zawdzięcza Dostojewski — z innych wymiarów — Eugeniuszowi Sue! Arcydzieła nie wyskakują z głowy. Składają się na nie wielowarstwowe pokłady utworów często zapomnianych i lekceważonych.



Bądźmy więc rozsądni i przewidujący jak Noe. Pozostawmy w naszym korablu choćby po jednej parze z każdego gatunku. Wyobraźmy sobie na przykład, jakby wyglądał świat, gdyby Noe był doktorem J. P. Zajackowskim z Grójca pod Warszawą! Małą próbkę tego daje arcyświetny „List z Fiołkiem“ Gałczyńskiego, ogłoszony jeszcze przed naszą dyskusją literacką. Cytuję go (w skrócie), aby nam Zolle nauczyli się go na pamięć:

- Oszczędności Zoologiczne:**
w ramach wszechświatowej akcji oszczędnościowej ośmiela się zaproponować wprowadzenie ograniczeń następujących:
- Wielbłądy dwugarbne:**
Jeden garb można z powodzeniem skasować.
- Zyrafy:**
Skrócić szyję przynajmniej do połowy.
- Faramusy:**
Ze złośliwego ssaka zwanego faramusem można by w ogóle zrezygnować, ponieważ po pierwsze nie jest dokładnie zbadany, a po drugie żadnego specjalnego pożytku społeczeństwu przynosić nie chce.
- Zebry:**
Te prądkowane egzotyczne konie nie tylko, że działają swoją pstrokacizną na nerwy, ale również są jaskrawym przykładem marnotrawienia barwników chemicznych, ot, byle tylko rozśmieszyć publiczność.
- Ujednostajnić.**
- Strusie:**
Strusie cały dzień biegają po różnych pustyniach bez większego zastanowienia. Bezsensowna strata energii. Do sprawy strusów jeszcze powrócę.
- 1. Ryby Delfiny:**
Delfiny pływają po morzu, wypuszczając raz po raz przez odpowiednie dziurki idiotyczne fontanny wody, co już niejednego kapitana statku wprowadziło w stan zagębnienia, a statek naraziło na katastrofę. Jeśli natomiast chodzi o rzeźbę, to w rzeźbie delfin odgrywa li tylko rolę ornamentacyjną, a nam chodzi nie o ornamentykę, tylko o treść i odbijanie rzeczywistości.
- 2. Ryby w galarecie:**
Celem umowienia produkcji, skąd właśnie mogą wypłynąć kolosalne oszczędności, wkładamy żelatynę bezpośrednio do stawów, nie zapominając oczywiście o marchewce krajanej w gwiazdki, listku bobkowym, zieleni angielskiej i tak smakowitych kaporach.
- Dodatek w sprawie oszczędności na oświetleniu astronomicznym:**
Czy przypadkiem, Panie Redaktorze, nie jest za dużo gwiazd na niebie? Czy w naszych ciężkich czasach jeden księżyc by nie wystarczył? „Z delfinami należy skończyć“. U kogo ja to już czytałem?!
- 27. Ostatnie dwie uwagi w tej przydługiej rozprawie.**
Jednym z zarzutów przeciwko literaturze najczęściej stosowanych jest to, że nie nadają cna za obecnym czasem, że jakoby odbija ona wciąż rzeczywistość przedwojenną, a nie dostrzega przelomu. Nie przeczę, że jest wiele

slusznosci w tych twierdzeniach, ale sprawa jest bardziej skomplikowana niż na pierwszy rzut oka się wydaje.

Nadażyć za czasem próbował Marinetti i niektórzy surrealiści — jak wiemy z wynikiem problematycznym. Pojęcie czasu w literackiej twórczości i w literaturze nie jest identyczne nie tylko z czasem matematycznym, ale i historycznym. Uprzymiśnijmy sobie, że między utworami, jak gdyby pochodzącymi z innych — już nie krajów i czasów, ale jak gdyby z innych światów, między ukazaniem się „Boskiej Komedii“ a „Dekameronem“ upłynęło lat zaledwie dwadzieścia! Nawiasem mówiąc to właśnie Dante, który nie był zwrócony twarzą do aktualnej tematyki, który zamknął epokę historyczną, już przewidywano, był gwałtownym aktywnym politykiem. Nie trzeba uznawać Bergsona, aby dostrzec paradoksy czasu w twórczości literackiej, aby stwierdzić jego niezgodę z linearnym czasem historycznym; nie trzeba być uczniem Prousta, aby stwierdzić aktualność różnych ciągów czasowych w pamięci. Żeby trochę pometafizykować: czas literacki jest zapewne złożony do koncepcji czasu z Wyznań św. Augustyna: istnieje teraźniejszość zjawisk przeszłych, teraźniejszość zjawisk teraźniejszych i teraźniejszość zjawisk przyszłych.

Nawet w oddziaływaniu literatury sprawy czasu są skomplikowane. Pisał o tym mądrze Stawar, stwierdzając stałą retardację działania prądów literackich, u nas np. Młoda Polska zaczęła szerzej oddziaływać dopiero w okresie międzywojennym. Tu jednak spóźnione jest społeczeństwo, społeczeństwo nie nadąża.

Ale jest inny aspekt zagadnienia, który mnie tu bardziej interesuje. Otóż z tego nieprzystosowania czasu literackiego, z tego zwolnienia tempa, z tego czasu au ralenti, który przeważnie ceniuje dobrą literaturę, wynika nie najistotniejsza, ale jedna z **najdobroczynniejszych jej funkcji**. Wiadomo, że ludzie współcześni żyją w ogromnie przyspieszonym tempie w porównaniu z wiekiem XIX, że przystosowują się do coraz szybszego tempa i że niezmienne są granice naszej żywej pod tym względem wytrzymałości. Każdy lekarz powie nam o ujemnych tego skutkach, o życiu nerwami, o zneurotyzowaniu człowieka współczesnego, o zmęczeniu, które czasem znajduje nadkompensatę w przesadnej ruchliwości i energii. Ale jest jeszcze inna rzecz: wielokrotnie tu cytowany Tolstoj z wielką aprobatą przytacza odpowiedź Dumas — młodszego na ankietę w sprawie dekadansu kultury. Otóż Dumas przyznaje degeneracji kultury upatruje w braku czasu w potocznym życiu Europejczyka (a były to lata osiemdziesiąte ub. w.). W pośpiechu, który nie zostawia miejsca na refleksję i medytację. Owo zatrzymanie się, medytacja, więcej bo „zapatrzenie“ — (o wartości zapatrzenia wiedzą dobrze poeci) — jest nie tylko niezbędne dla normalnego rozwoju kultury, ale po prostu dla dobrego funkcjonowania psychiki. I to jest jedna z doniosłych funkcji literatury. Bo pisarz — inżynier dusz, bywa też ich higienistą i lekarzem — i to też jest jego szczytne Powołanie.

27. Uwaga nareszcie ostatnia: Wspominałem mimochodem, że społeczeństwo ma prawo do powieści niejako fotograficznych, do pokazania mu jego prac i dążeń. Jest to bezsporne i taką literaturę w dobrym gatunku i użyteczną powinni inspirować nasi wydawcy, oczywiście bez proklamowania wielkich słów i bez przesady. Ale mimo to nasuwają się pewne wątpliwości: czy istotnie nasi przodownicy pracy chcieliby być portretowani przez literatów i malarzy? Czy to jest skuteczna forma zachęty, podnoszenia samooceny społecznej mas? Czy aby nie przypisuje się masom robotniczym pewnych cech drobnomieszczańskich — aspiracji zubożonego sklepikarza, który otacza się w mieszkaniu zwierciadłami, chce mieć portret „jak żywy“ od malarza? Nie umiem na to odpowiedzieć. W każdym razie mam wątpliwości, czy powieści ze środowiska robotniczego, wyjąwszy polityczne, walczące i sugestywne w rodzaju „Matki“ Gorkijego — będą przez masy naprawdę czytane? Czy czytelnik masowy nie będzie wolał choćby „L jak Lucy“ od fabrycznej powieści Pytlakowskiego?

Jest to eskapizm, w tym wypadku nie pisarza, lecz czytelnika, eskapizm, z którym częściowo należy walczyć. Ale może niezupełnie, męże z punktu widzenia np. higieny psychicznej — może nie jest to zjawisko ujemne? Może to właśnie — ta literatura eskapizmu — stymuluje energię do pracy, daje wytchnienie. Sam Gorkij na przykład wolał „Cyrano de Bergeraca“ Rostanda od dramatu Czechowa — co prawda z innych względów. Trzeba tylko dbać, aby eskapizm nie prowadził do śmiertelnika, do zamtuza, do szmiry egzotycznej, aby uszlachetniał i bogacił wewnętrznie. I tu znowu jest pole do działania dla naszych wydawców.

28. Cierpliwymi czytelnikami tych rozważań — jeżeli taki dotąd wytrwał — zechce może pewnie lapidarną a praktyczną rekapitulację. Oto więc ona: 1) ani państwo nasze, ani orga-

nizacje polityczne, ani społeczeństwo nie jest w zasadzie zainteresowane w zagadnieniach takiego czy innego stylu literackiego. Można sobie doskonale wyobrazić użyteczną politycznie powieść psychoanalityczną czy utopijną.

2) Pojęcie użyteczności literatury jest niezmiernie skomplikowane i często perwersyjne, użyteczność polityczna bywa ambiwalentna, poza tym literatura posiada wiele innych, często mało znanych a mimo to bardzo doniosłych funkcji, niezbędnych społeczeństwu dla jego humanistycznego rozwoju.

3) Wynika z 1) i 2) konieczność jak najliberalniejszego traktowania stylów, faktów i zjawisk literatury ambicyjnej, wysoko-gatunkowej, konieczność obejścia się w polityce literackiej bez nakazów i zakazów, co nie znaczy, że państwo nie ma prawa mieć swojej polityki literackiej.

4. Unikać przede wszystkim złudzeń, fałszywych urojeń i nierealnych wymagań! Nie należy sobie obiecywać, że w dziedzinie literatury możliwy jest skok, przełom, koincydujący z przełomem politycznym — społecznym, że nastąpi rewolucja, choćby łagodna, że wystarczy uświadomić politycznie pisarzy i odwołać się do ich dobrej woli, aby serynie produkowali literaturę aktualną, prawdziwie realistyczną, afirmującą, optymistyczną, wychowawczą politycznie i koniecznie literacko doskonałą! — wszystko naraz — co jak starałem się wykazać jest do pewnego stopnia szukaniem rozwiązania kwadratury koła.

5) Oczywiście są przesłanki do przypuszczenia, że literatura upolityczniona, reprezentowana u nas przez „Kuźnicę“, ma dane do znacznie większego rozwoju i rozpowszechnienia. Jeżeli nie posiada ona właściwego kalibru i atrakcyjności, to z powodu pewnych dewiacji jej startu, jak i fatalnej organizacji naszego życia literackiego. Chodzi o literaturę polityczną w najszerszym i szlachetnym tego słowa znaczeniu, taką, jaką była u literatury włoska połowy ub. stulecia, bojową, ideową, rzutką, umiejającą celować, byle nie doktrynerską, nie „mielkoskopową“, nie ciasną, scholastyczną, lecz z szerokim marginesem luzów i wariacji myślowych i artystycznych, a nade wszystko bez katechizmu i rozgi.

6. Istnieje też możliwość i pilna potrzeba zainspirowania gatunkowo dobrej literatury drugiej klasy, ale wychowawczej społecznie. Jakkolwiek granica między literaturą ambicyjną a literaturą drugiej klasy jest zielona, niemniej jest ona praktycznie uchwytana dla każdego znawcy. Tu znowu jest zadanie dla wydawców!

7) Pozostawmy w wieży z kości słoniowej tych, którzy poza nią na pewno zwiędną. W literaturze mało co ginie bezużytecznie, jeżeli jest artystycznie udane, jeżeli ma swoją autentyczność, jeśli nie jest imitacją.

8) Poza literaturą zawodową, popierajmy i szukajmy outsiderów, pamiętnikarzy i t. p. To jest dopływ świeżej krwi i świeżej tematyki.

9) Nie bądamy młodzieży tym, co jest dla nas bezużyteczne; seria sloganów i wymagań, z którymi sami nie wiemy co robić. Chrońmy ją przede wszystkim przed formalistami, specjami i stylizatorami! Obecna młodzież literacka jest na ogół taka sama, jaką myśmy byli, gdyśmy byli młodzi, a w miarę posuwania się w latach upodobił się do nas.

10) Aby było co popierać i co przyhamować, aby było w czym przebieierać, trzeba stworzyć organizacyjne warunki powstania dobrej literatury, trzeba aby literatów zawodowych było więcej — czego słusznie domaga się Wyka — i aby pisali! Z pobieżnego rachunku wynika, że zaledwie około 20 pisarzy tak się urządziło, że może jako tako pisać zawodowo. Reszta albo siedzi na posadach, albo ugania ciagle za doraźnymi zarobkami, coż z tego, że — w bardzo rzadkich zresztą wypadkach — wygórowanymi, skoro nieraz jest łatwiej zarabiać więcej niż mniej. Z tej reszty, jak obliczam, jest około 80, którzy w ciągu roku dałyby wartościowe książki czy sztuki, gdyby mieli dostatecznie zabezpieczoną spokojną egzystencję. Wyobraźmy sobie, że państwo tytułem próby, na rok czy dwa, bierze ich na utrzymanie, oczywiście z kontrolą choćby kwartalną. Wymagałoby to około 40 — 50 milionów rocznie, z których znaczna część byłaby zwrotna (czynnikom zainteresowanym mogę na żądanie wskazać w jaki sposób). W rezultacie mielibyśmy po roku conajmniej 50 nowych książek, których inaczej nie będzie! Po dwóch latach większość podopiecznych stanęłaby gospodarzami na nogach. Ale o czym tu mówić! marzycielu, marzycielu...

11) Bibliotek! jak najwięcej bibliotek! jak najwięcej pieniędzy dla bibliotek! jak najwięcej czytelników! jak najwięcej światła!

Uwaga końcowa. Uwagi powyższe były kreślone techniką czarnobiłą, kontrastowa — zatem nie bez przejaśrawień. Ale chodziło tu o ostre konturowanie aktualnej problematyki literackiej. Sady moje są aproksymatywne — stwierdzam to, nie aby ułatwić sobie Pozyccje wobec ewentualnych polemistów, ale dlatego, że w tej dziedzinie nie widzę możliwości innych sądów.

Aleksander Wat.



Wracając jednak do rzemiosła, naturalnie ono istnieje. Można się go nawet nauczyć. Ale jest ono raczej, jak się rzekło, sztuką literatury drugogatkunkowej. Można, oczywiście, wyterminować literata na Wallace'a, czy nawet na Somerset Maughama, przy tym ideowo użytecznego. I należy to czynić w rozmiarach jak najszerzych! I tu znowu jest odepierne pole do działania dla wydawców, redaktorów i polityków literackich.

Aby nie było nieporozumień, powyższe słowa nie są pochwałą nieumiejętności. Oczywiście i rzemiosło może się przydać, byleby o nim nie pamiętać, byleby nie widzieć instrumentów. Tym bardziej zaś przydatna jest nagromadzona suma doświadczeń pisarskich, kultura literacka — ale nawet i ona nie jest niezbędna. Aby stworzyć utwór o wielkiej wartości literackiej. Stąd też szansa dla outsiderów, dla samorodków, których przed wojną wydawcy wyciągali za uszy, o czym dzisiejsi wydawcy — jeden z paradok-

ANDRZEJ BRAUN

„INKLUZOWE WIANO“ MORTONA^{*)}

Józef Morton

DOBRZE, że ukazywały się wreszcie w „Kuźnicy“ recenzje z powieści Gałaja, że przypomniano sobie, iż „przed Mystkovicami była Grzmiaćca“ — Władysława Kowalskiego. Warto przypomnieć jednak, jeśli chodzi o chronologię, że jeszcze przed tymi pozycjami ukazała się na powojennych półkach księgarskich powieść Józefa Mortona.

„Inkluzowe wiano“ jest prostą w zasadzie i dość przejrzystą zrobioną książką dydaktyczną. Mamy tu, najogólniej biorąc, mit światłego chłopca, który wraca z dalekiego świata, przynosząc cywilizację do zapadłej wsi. Mamy tu zawiść i drażnienie zacofanej społeczności, nienawiść jako skutek atakowania konserwatyzmu, któremu patronują ksiądz i karczmarz. Sam kusi strój Franka kluje w oczy. Do wsi ściągnęła go spowrotem nostalgia, która przeważała niechęć najbliższych. Kowalstwo jako fach praktyczny i potrzebny w nowych czasach, postawiło go na nogi. Dzięki grze na harmonii zjednał sobie towarzystwo. Tendencją pedagogiczną Mortona w malowaniu dziejów Franka jest bardzo przejrzysta. Jako kowal, uosobiony jest z czynnikami postępu technicznego na wsi. Jest to okres przechodzenia przez chłopów z narzędzi i wozów drewnianych na żelazne. Franek swoją odważną i światłą linią postępowania po kolei naraża się wszystkim wpływom osobom na wsi. Ponieważ był dobrym kowalem, w atmosferze zawiści i zabobonów zrobiono zeń wspólnika czarownic mocy.

Rzecz dzieje się w drugiej połowie dziewiętnastego wieku; tło historyczne zarysowane jest słabo. Tu i ówdzie wzmianki o ukazaniu cara, uwłaszczającym chłopów. Okres świeżo po zalesieniu pańszczyzny, ślady jej tkwią jeszcze w psychologii chłopów. Sprawa serwitutów i stosunku do dworu, nieregulowana na razie, czeka jako zadanie przyszłości. Jest już po powstaniu styczniowym. Ojciec Karolinki, wysiedlony został za karę za udział w powstaniu panów. Rządki to wyjątek. Aktowe wsi. Franek, występując jako wróg zabobony i zawiść są głównym rysem charakteryzującym stosunki wiejskie. Początek niedoli Karolinki poczęł się od tego, że nie chciała oblać swych pięknych włosów przy oczepinach. Potem zawistni zarzucili jej po śmierci męża zię prowadzenie się. Tymczasem po prostu żyła ona i mieszkała najkulturalniej we wsi. Franek, występując jako wróg zabobonów w rodzaju procesji z obrazami i suplikacjami, by odwrócić gradobicie siebie zgorzzenie i naraża się wsi. „Przećcieć Bóg, a ksiądz, to jedno“ — mówi mu jedna z bohaterów. Mamy tu takie okazy, jak typ „Olejnikarza“ z całą jego dwuznaczną rolą szarej eminencji, wywoływaniem szurów za pomocą gry na fujarce itp. Obok zabobonu głównym motorem czynów ludzkich tak jak to pokazywali wszyscy dotychczasowi pisarze chłopscy jest chciwość ziemi i bogactwa (łata). Górują dwa typy: albo materialści, którzy nie cofnęli się przed żadną zbrodnią byle zdobyć majątek, albo ogłupieni przez księć, którzy nawet nie umieli trzeźwo patrzeć na sprawy materialne, ale zato byli materialem na najgorszych fanatyków, gotowych również do każdej zbrodni, chociaż z innych pobudek. Pieniądz i chciwość, albo fanatyzm i zabobon — oto dwa czynniki kierujące postępkami chłopów. Wszyscy oni byli uważani za heretyków i wobec nich, z takich czy innych względów, mobilizowała się cała masa wiejska. Morton pokazuje, dlaczego ksiądz, mimo swych dobrych chęci, nie mógł odegrać zamierzonej przez siebie samego roli przodownika kulturalnego. Maluje typ łuchownego, który w marzeniach swych chciał być apostołem i naśladowcą Chrystusa, chodzić po chałupach i troszczyć się o poprawę bytu i gospodarki swoich owieczek. Niestety nie rozumiał z przyczyn dla których, mimo uwłaszczenia, w zagrodach królą brud i nędza, kładąc, zgodnie ze stanowiskiem plebanii, cały nacisk na pobożność, przesadywanie w kościele i czekanie na łaskę bożą. Ciemni chłopci tracili resztę czasu na próżną dewocję, ksiądz nie mógł znaleźć z nimi ludzkiego kontaktu — skoro przecież sam narzucił im stosunek do siebie jak do Boga, czy świętości. Projektowane wizyty gospodarskie, czy narady kończyły się przyniesieniem podarków i całowaniem księżej ręki. Ksiądz bał się zbytnią ludzkością obniżyć swój źle pojęty autorytet, a wreszcie z

praktycznych względów wołał wizyty we dworze, aniżeli u chłopów. Oto sprzeczności i przyczyny, dlaczego ksiądz nie mógł, mimo możliwości i chwilowych odruchów, odgrywać roli kierowniczej lub reformatorskiej na wsi. Błędna rola kościoła już z góry przesądzała, jakie wyda owoce.

Równie naocześnie ukazał Morton całą płytkość pozornego humanizmu zawartego w chłopskim traktowaniu religii. Niech ludzie rodzą się, zdychają, płożą, chorzy nie chorzy, słabi nie słabi. Wszystko to będzie im wynagrodzone po śmierci, byle formalności były dopełnione przez księdza, i byle dostał on tyle ile zażąda. Satyryczny zmysł Mortona doskonale uzewnętrznia się w takich partiach, jak opisywanie dnia, spędzonego przez ciotkę „kościelnicę“ (str. 81 — 86); widać jak dobrze zna on psychologię chłopów. Sceny takie tworzą jakby poszczególne obrazki, wplecione między inne wątki powieści. W malowaniu tych postaci drugoplanowych jest Morton bardziej plastyczny, aniżeli rysując główne (Franek, Karolinka), które przez to że są w założeniu wyidealizowane i „wzoro-we“ — rozpiwiają się. Historia Łaty i sprzedaż jego koni, zbliżona jest sposobem konstruowania i opisem do „Michałków“ czy „Antków“ Konopnickiej, lub Prusa. W ogóle Morton, w przeciwieństwie do Gałaja, jest poprawnie konwencjonalny w kompozycji.

Przez to zapewne łatwiejszy będzie do przyswojenia czytelnikowi prymitywnemu, potrafi go zaciekać, korzystając z normalnych, wypracowanych sposobów zwiększenia atrakcyjności książki, których nie zastosował Gałaj, podając cenne i wartościowe treści, ale w nużącej i nieodpowiedniej formie. Morton zastosował formę najwłaściwszą, tradycyjnej beletrystyki, ale wartość treściowo-ideaowa jego książki, ani równać się nie może z Gałajem. Książce Mortona szkodzi dydaktyzm.

Bohater we wszystkich swoich posunięciach gospodarskich jest „wzorem“. Posadzony o współpracę z diabłem, zbankotowany zostaje przez całą wieś. Musi zamknąć kuźnię i zacząć zarobkować graniem na harmonii chodząc od karczmy do karczmy po odległych wsiach. Omal nie pada ofiarą skrytobójstwa. Przepaść między nim a wsią staje się nie do przebycia. Posadzony o zabójstwo karczmarza, dostaje się do więzienia.

Tymczasem młodzi dorastają, wypierając starych, młodzi, którzy czują respekt do Franka i wdychają do chwili jego powrotu z więzienia. Pewność co do jego winy zaczyna się chwiać. Franek czeka sprawą, ale te-

raz chłopci będą świadczyć raczej za nim. Tym optymistycznym akcentem kończy Morton swoją powieść.

Zbyteczne i dziwaczne w tej historii nowego księcia niezłomnego wydaje się tylko tłumaczenie losów Franka przez autora za pomocą podań o inkluzie (vide: tytuł) co niepotrzebnie mąci obraz konfliktu.

Z punktu widzenia techniki pisarskiej rzecz jest zrobiona dobrze, ale samo zagadnienie prezentuje się raczej ubogo wobec np. szerokiej panoramy „Mystkovic“ Gałaja. Nawiasem chciałbym dodać, że strona językowa powieści jest nie najszcześniejszą. I narracja i wypowiedzi bohaterów pisane są językiem literackim, a nie gwarą co brzmi nawet czasem dość dziwnie w niektórych, patetycz-

nych przemówieniach, natomiast koloryt gwarowy w próżni pomyslanej jako utwór już historyczny osiąga autor przez zastoso-wanie, podobnie nieco jak to zrobił Gołubiew, niezrozumiałych słów zaczerpniętych ze staropolszczyzny. Np. uszczygowanie, białekowanie, usmedypocbiega, spierwoci, matyjacznie, śpenetrant, ledźwuń, prandyce-nie, piekurot, jankurnie, obmany predykant i t.d. Słowa te po sprawdzeniu w słowniku okazały się oryginalne. Możliwe, że lud je zachował nawet dotychczas. Jeżeli jednak autor w ten sposób miał zamiar zarchi-zować język i uplastyczyć epokę, to zamiar ten trudno uznać za szczęśliwy.

Andrzej Braun.

NAGRODA PREZYDIUM RADY MINISTRÓW



Jadwiga Chojnańska

Komisja Zasłużonych przy Prezydium Rady Ministrów pod przewodnictwem premiera Józefa Cyrankiewicza przyznała 2 nagrody po 100.000 zł. Jadwidze Chojnańskiej, artystce teatru Wojska Polskiego za świetną kreację roli głównej w sztuce „Celestyna“ Rohasa w reż. Leona Schillera w Państw.



Tadeusz Hołuj

Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi oraz Tadeuszowi Hołujowi za całokształt dotychczasowej twórczości literackiej (tom poezji „Wiersze z obozu“, powieść „Próba ognia“ i sztuka „Dom pod Oświęciami“, którą grać będzie wkrótce Teatr Polski w Warszawie).

HENRYK WOLPE

„Myśli o nowej Polsce“

NIE MAŁ w przeddzień wymarszu I Dywizji Kościuszkowskiej na front pisał Alfred Lampe: „Polsce jest potrzebna własna droga rozwojowa. Pierwszym warunkiem odrodzenia narodowego jest wolność ukształtowania własnych dróg rozwojowych“. Żołnierze Dywizji Kościuszkowskiej szli na front, by własną pierśią wyrąbać drogę prowadzącą do uwspółcześnienia Polski. Z tego właśnie okresu — sierpień 1943 r. — pochodzi projekt tez programowych Alfreda Lampego.

Piękny był to okres dla Polonii Radzieckiej — wiosna i lato 1943 r. Potężnie rozwijała się organizacja polityczna wychodźstwa polskiego — Związek Patriotów Polskich. Polonia radziecka żyła intensywnym życiem politycznym i kulturalnym. Powstawały polskie szkoły, sierocińce, przedszkola, wydawnictwa. Wychodziły pisma polskie „Wolna Polska“, „Nowe Widnokreśli“ — organy Związku Patriotów Polskich. 15 lipca — w dzień rocznicy Grunwaldu — Dywizja Kościuszkowska złożyła przysięgę wojskową. 1 września jej wymarsz na front — a 17 października chrzest bojowy pod Leninem. Wychodźstwo polskie żyło jedną myślą, myślą o Polsce. Z kraju dochodziły wieści straszne i wieści radosne. Straszliwy terror okupanta, ale też opór narodu, wystąpienia Gwardii Ludowej, deklaracja Krajowej Rady Narodowej.

W tym to okresie zajaśniał wybitny umysł Alfreda Lampego. I dobrze uczyniła „Książka“ wydająca tomik jego artykułów^{*)}. „Myśli o Nowej Polsce“ są pontekąd wznowieniem, bo część artykułów wydawał Związek Patriotów Polskich w Moskwie 1943 r. p. t. „Miej-sce Polski w Europie“ Liczne są jednakże nowe artykuły Lampego, przede wszystkim owe lakoniczne tezy programowe. Niezwykłe tezy, owoc prawdziwie twórczej myśli marksistowskiej, śmiałej i bezlitosnej, nawet dla własnej, dotychczasowej drogi ideowej. Bo Alfred Lampe, wieloletni działacz komunistyczny, członek Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Polski, zahartowany w walkach rewolucyjnych, był przede wszystkim wolny od jakiegokolwiek pobażania wobec własnej tradycji. Z chwilą, kiedy krytycznie przemysłana rzeczywistość wykazała mu, że



Alfred Lampe

jego własna droga jest błędna, szukał nowej drogi.

Wieloletni więzień sanacji, który spędził w różnych więzieniach Polski przedwrześniowej przeszło 10 lat, w przeddzień tragicznego września wraz z tysiącami innych komunistów polskich domagał się przyjęcia do wojska, by walczyć o wolność ojczyzny. Na przedpolach Warszawy zginął wtedy jego towarzysz ideowy Marian Buczek. Warszawa, miasto jego lat dzieciennych, stawiała czoło najeźdźcy. Przykład Warszawy był dla Lampego podstawą jego koncepcji odrodzenia Polski drogą stworzenia frontu narodowego.

„Kiedy lud warszawski w swoim niezłomnym i bohaterkim oporze wobec przemożnego wroga — pisał on później — przekreślił pielegnowane przez różne stronnictwa, grupy i ludzi rozbitcie wewnętrzne narodu i stanął jak jeden mąż do walki o wolność i honor... nikt wówczas nie pisał programów. Ale istniał program walki. Program, który brzmiał: Jedność, czyn, niezłomność i wytrwałość, wolność i niepodległość“.

W sierpniu 1943 roku rozpoczął Lampe swój projekt tez programowych słowami:

„Wszystkie partie polityczne Polski ze swoimi starymi programami, starymi metodami, działaniami i starymi przywódcami przeżyły się. Rzeczywistość wymaga nowego ukształtowania kierunków politycznych w Polsce. Dla dokonania tego przekształtowania niezbędne są nowe wielkie prądy ideowe“.

Marksiści Lampe pragnie prawdziwie wolnej, niepodległej Polski, bo wie, że zależność Polski od międzynarodowych sił kapitalizmu — to zacofanie i słabość Polski. Fikcja jest niezależność państwa, zależnego od obcego kapitału. Lampe zdaje sobie sprawę, że po wojnie ogólnoeuropejska sytuacja nie postawi na porządku dziennym sprawy rewolucji. Nowe wyjście z wojny dla Polski, oznacza „wytyczenie dróg rozwojowych nie pokrywających się z liberalno-kapitalistycznymi drogami rozwojowymi, ani też z drogą jaką kroczył ZSRR od 1917 roku“. Polska winna stworzyć nowy typ demokracji politycznej — pisał Lampe w swoich tezach programowych. Na drodze tej nowej demokracji trzeba złamać stare przegródki, partyjne, stare kierunki polityczne i wytworzyć nową polityczną nadbudowę. Jako marksista, Lampe odrzuca kategorycznie wszelkie sugestie własnej tradycji politycznej, wznosi się ponad jakiegokolwiek ambicję, obojętność, czy kapłacką sekciarską myśl. Ie ostrożności politycznej, prawdziwej ścisłości i precyzji zawiera następujące zdanie zawarte w tezach programowych:

„Teoretycznie jest możliwa, a w każdym razie nie jest wykluczona możliwość ewolucji gospodarczo-politycznej Polski w kierunku socjalistycznym drogą pokojową, bez wojny domowej“.

Zważmy, że słowa te były pisane w połowie 1943 roku. Jak przewidujący okazał się Lampe. Polska kroczy własną drogą, drogą pokojową ku socjalizmowi. To co dla Lampego w 1943 roku było teoretycznie możliwe, stało się rzeczywistością.

Fundamentem koncepcji politycznej Lampego, koncepcji wyzwolenia i odbudowy Polski jest front narodowy. Takie hasła głosił na łamach „Wolnej Polski“ i „Nowych Widnokreśli“, w takim duchu przemawiał do „o-laków przez radio Kujbyszewskie.

Czytamy dziś te artykuły Lampego z prawdziwym zaciekawieniem i wzruszeniem. Taka

^{*)} Józef Morton: „Inkluzowe wiano“ Wyd. „Książka“ 1946.

^{*)} Alfred Lampe — „Myśli o nowej Polsce“, „Książka“ 1946.

siła uczucia bije z tych słów, tak świetnie są sformułowania, które nie zbladły do dziś dnia.

W swoim przemówieniu radiowym Lampe głosi wolę życia pełnowartościowego, pogardę śmierci w walce o najwyższe wartości życia. „Bez tego cywilizacji grozi zagłada”. Daje wyraz uczuciom radości i zachwytu, gdy mówi o bohaterstwie partyzantów jugosłowiańskich, którzy nie miedrują, nie wylęczają na kiedy można odłożyć walkę z okupantem, lecz biją się odważnie. Trzeźwo oceniając sytuację Polski, dowodzi, że udział Polaków w czynnej walce z hitlerowcami jest sprawą rzeczywistej wagi narodu polskiego w kształtowaniu biegu dziejów. Wola tedy Lampe o powszechną wojnę powstańczą wszystkich narodów ciemiężonych okupowanej Europy. W tej walce nie może zabraknąć Polaków.

W artykule, drukowanym, jak wyżej wspomniano, w „Wolnej Polsce” i „Nowych Widnokrągach”, od kwietnia 1942 roku do sierpnia 1943 r. porusza Lampe tematy poważniejsze. Nie jest już tutaj mówcą, lecz publicystą, teoretykiem. Jakaż tu bogata i rozległa skala tematów! Z jednej strony walka z reakcją (głośne artykuły: „Szlachetna buta pod znakiem swastyki”, „Mosty i fronty”, „System przedwrześniowy”) z drugiej zaś i te artykuły są najtrafniejsze — sprzyjające stanowisko Lampego w sprawach polskiej polityki, zagranicznej i wewnętrznej (głównie „Miejsce Polski w Europie”, „Niepodległość i demokracja”). Nie jest to publicystyka okolicznościowa, lecz zasadnicza najczęściej. Lampe porusza zagadnienia ideologii, taktyki na najbliższą przyszłość, analizuje naszą przeszłość, rozprawa się ze złudzeniami i przesadami.

Pasja publicystyczna Lampego przebiega szczególnie w artykule „Mosty i fronty”, w którym demaskuje hazardową grę kilku londyńskiej, usiłującej budować front antyradziecki.

„Chcemy — pisze Lampe — budować tam, gdzie inni chcą budować front. I chcemy zrywać mosty, budowane przez tamtych ponad faktycznie istniejącym frontem”.

Lampe wykazuje, że kontynuowanie fatalnej polityki polskiej szlacheckiej sprzed rozbiorów, owa „polityka wschodnia” przyczyni się do zniszczenia, szkodzi interesom narodu, spycha go w przepaść wstępczości, powoduje ekonomiczną i wojskową słabość państwa.

W artykule „Prawdziwa walka czy urojona rzeczywistość” z druzgocącą logiką rozbił ją mity historyczne, wegetujące zarówno w polskiej historiografii, jak też w świadomości społeczeństwa.

Przekładają nam — pisze Lampe — pojęcia z innej epoki, uniemożliwiając zrozumienie dzisiejszej rzeczywistości. „Jedyną drogą właściwą jest droga, wiodąca do tego, by między Polską i Związkiem Radzieckim wszystkie sprawy stały nie w płaszczyźnie walki, lecz w płaszczyźnie porozumienia. Również sprawa granic wschodnich może i powinna być załatwiona przy obopólnej dobrej woli”.

W innym artykule („Miejsce Polski w Europie”) pisze Lampe m. in. o tym, że przyszły pokój europejski winien przywrócić nam Śląsk, Warmię, Mazury, Kaszuby, „Prusy Wschodnie muszą stać się pomostem Polski na Bałtyk a nie barierą, oddzielającą Polskę od Bałtyku”.

Pokoju europejskiego winien strzec potężny zespół państw demokratycznych, z Związkiem Radzieckim na czele.

„Granice strategiczne tego zespołu, a więc granice strategiczne Polski, leżą na Odrze”. Pamiętamy, że słowa te były pisane w kwietniu 1943 r. Lampe był pierwszym politykiem polskim, który z taką przekonującą siłą postawił sprawę naszych granic zachodnich, uzasadnił ich sens historyczny, strategiczny, międzynarodowy. Dla niego granice zachodnie nie mogą być „firankami” (czy aby wyrażenie to nie jest stosowne w sam raz dla Marshalla), ale też granice wschodnie nie mogą być kolcami, jak tego pragnęła reakcja polska. Polska demokratyczna, powiada Lampe, zmierzać będzie do zjednoczenia wszystkich ziem etnograficznie polskich, ale też nie będzie żądać dla siebie ani jednej piędzi ziemi ukraińskiej, białoruskiej czy litewskiej.

„Nikt nie powie, że przyjęcie takich zasad uwładnia naszemu honorowi narodowemu. Zasady te wskazane są z punktu widzenia dobrej sprawy zrozumiętego interesu narodowego, z punktu zaś widzenia istniejącego układu sił — są konieczne”.

„Nie należy dopuścić, by granice takie zostały nam narzucone. To pozostawiłoby gorczy rozdrażnienia i osad nieufności. To by nas osłabiło”.

Wydany zbiór artykułów Alfreda Lampego wzbogaca publicystykę o głębokie myśli, wyrażone w formie żywej, ciekawej, niecodziennej. Czytelnik poznaje myśli człowieka, który łączył śmiałość światoburcy z konstruktywną trzeźwością realisty, a który przede wszystkim był twórczym marksistą. Oddalony o setki kilometrów od kraju, oddzielony frontem od głównego nurtu polskiej myśli postępowo-patriotycznej, siłą swego twórczego talentu rozumiał to, co kielkowało, dojrzewało i stało się w kraju. Nie biorąc bezpośredniego udziału w życiu kraju, myślał przenikał procesy ideologiczne, zachodzące w kraju w klasie robotniczej, w chłopstwie, w postępowej inteligencji. W poszukiwaniu nowych dróg, prowadzących do wyzwolenia i odbudowy Polski, trafił na to samo wyjście, stworzył te same koncepcje, które w kraju stały się pionem ideowym Młodej PPR. Nie jest wcale przypadkowa owa zbliżność i powinowactwo koncepcji politycznych Nowotki, Findera i Wiesława z koncepcją polityczną Lampego. I jedne i drugie ukształtował twórczo pojęty marksizm żywy nurt ideowy polskiej klasy robotniczej.

Henryk Wolpe.

WITOLD KULA

Toorem złych tradycji

POMYSŁ Instytutu Zachodniego opracowania przez uczonych polskich „Dziejów Niemiec” uznać należy za bardzo szczęśliwy. By nie wspominać o innych korzyściach — byłoby to ważne dla naszego życia kulturalnego, dla szkoły, prasy itp. — gdzie jak dotąd w zakresie zagadnień niemieckich operuje się legendą, peszkwilem, obelgą lub fantazją. Ale oczywiście wykonanie tego zadania wymagałoby od powołanych do niego dzisiejszych historyków polskich wysokiego poziomu moralnego, by zdobyli się oni na stłumienie własnej zrozumiałej niechęci do traktowanego przedmiotu, by nie schlebiali gustom brukowym, by przynajmniej walczyli oni o osiągnięcie jakiegoś poziomu obiektywności. W razie spełnienia tych warunków — wydanie polskich „Dziejów Niemiec” mogłoby być poważnym osiągnięciem w naszym życiu kulturalnym. W razie nie spełnienia — mogłoby stać się faktem szkodliwym, pogłębiając istniejące w tej dziedzinie niepokojące objawy.

Opracowanie dziejów Niemiec w średniowieczu powierzone zostało prof. Tymiechickiemu, który dał nam dzieło oryginalne, poważne i pogłębione.

Dzieje Niemiec w czasach nowożytnych opracował profesor U.P. Janusz Pawełski.

Odrzuć stwierdzić trzeba, że o książce jego nie można powiedzieć, by wypełniała ona wyśniewane wyżej postulaty. Książka ta napisana jest w sposób wybitnie i chyba celowo agresywny, materiał konstruuje w sposób wyraźnie jednostronny, dla wzmocnienia siły swych dowodów nie cofa się przed używaniem wywisk lub „grzyzącej ironii”. Na egzemplarzu moim zwroty tego rodzaju o niemieckości, niemieckiej kulturze, niemieckim języku, niemieckich politykach czy wodzach podkreśliłem na str. str.: 70, 78, 87, 89, 96, 104, 129, 133, 136, 152, 177, 181, 199, 213, 220, 233, 266, 268, 272, 278, 279, 280, 285, 289, 297, 309, 310, 311, 312, 315. — a i to nie zawsze przy czytaniu miałem ołówkę pod ręką! Nie potrzebuje zaznaczać, że nie występuję tu w obronie tego czy innego zwymyślanego przez prof. Pawełskiego polityka niemieckiego — lecz w obronie dobrych obyczajów życia naukowego, stylu i języka publikacji naukowych przed metodami, do złudzenia przypominającymi prace uczonych hitlerowskich. By skończyć z tą sprawą — proponowałbym zasłużonemu Instytutowi Zachodniemu przyjęcie w dalszych swych pracach stanowiska, że „mocne słowa”

*) Pawełski Janusz: Niemcy w czasach nowożytnych (1517—1939). Studium niemiecko-Instytutu Zachodniego. Poznań. Instytut Zachodni. 1947. Stron 344.

bynajmniej nie wzmocniają siły przekonywującej wywodów autora.

Przejdźmy do zagadnień merytorycznych. Materiał. Od książki tego rodzaju wolno oczekiwać dostarczenia dużej ilości materiału faktycznego. Otóż tu przede wszystkim podkreślić trzeba, że okres dziejów od wybuchu Reformacji do wstąpienia na tron Fryderyka II zajmuje w niej 63 strony, czyli, że te dwa z górą wieki (1517 — 1740) potraktowane są nie szerzej, niż w gimnazjalnym podręczniku w rodzaju Nankego.

Podkreślić też trzeba, że typowe dla naszych podręczników wyczerpywanie się problematyki niemieckiej w problematyce zagadnień pruskich i austriackich, które właśnie należałoby tu przewyższać — cechuje również i książkę prof. Pawełskiego.

Natomiast — szczerze trzeba powiedzieć — że interpretacja podawanych faktów nie spełniałaby wymagań stawianych choćby podręcznikowi gimnazjalnemu, nawet i w czasach przedwojennych.

Dla przykładu:

Reformacja wyjaśnia się „nieufnością” wobec odpustów (!?! — t. zn., że wierni nie ufali, że za swe pieniądze otrzymają zwolnienie od odnośnej liczby lat czyśćca?) i analiza psychoanalityczna Lutra („dziecinne wrazenia” — s. 6). Kонтрреформация przedstawiona jest jako pojawienie się niby „Deus ex machina” „Jeżuitów — poczem „Deus vincit” (s. 31).

Wszystko tłumacza charakterystyki personalne wodzów i polityków. Tak przedstawione jest zakończenie wojny 7-miesięcznej (s. 76). Jeszcze mamy żywo w pamięci, jak w końcowym okresie wojny często przywoływał ten przykład Goebbels w „Das Reich”, by spragnionym cudu czytelnikom udowodnić, że cuda w historii się zdarzają! Do tych celów propagandowych fakt ten nadawał się znakomicie — ale czy taka interpretacja wytrzyma krytykę naukową?

Podobnie tak ciekawe i charakterystyczne dla epoki oświecenia i absolutyzmu reformy józefińskie przedstawione są jako „doktrynarskie i nieprzemysłane” fantazje „ambitnego” monarchy (s. 84).

Tytuł: „Niemcy w czasach nowożytnych” nie zobowiązuje widać autora w jego mniemaniu do podania czytelnikowi jakiegobądź materiału poza kroniką dyplomatyczną. Historia gospodarcza nie istnieje nawet w tym zakresie, w jakim znajdujemy ją w starzych, tradycyjnych podręcznikach gimnazjalnych. Autorowi nie jest ona potrzebna nie tylko do wyjaśnienia Reformacji, Kонтрреформacji, znaczenia wojny trzydziestoletniej (s. 42) i t. p. — lecz nie będzie mu też potrzebna przy omawianiu w. 19-go i 20-go. Przy Bis-

marku przytacza się wiele efektownych anegdot — lecz nie mówi się o „blaskach i nędzach” okresu tworzenia wielkiego przemysłu w Niemczech. Przy dziejach republiki weimarskiej nie potrzebna jest ani wzmianka (Gosłowniel) o stynnej inflacji powojennej, która taki wstrząs wywołała w mieszczaństwie niemieckim. Geneza narodowego socjalizmu nie wymaga według Autora żadnych informacji o kryzysie 1929 r., wspomnianym jedynie raz mimochodem (s. 317).

Pod tym względem śmiało można powiedzieć, że książka prof. Pawełskiego bije rekord lekceważącego stosunku do postulatów, które w dzisiejszej historiografii właściwie nie wzbudzają już żadnych sprzeciwów! Przeciwnie. Książka prof. Pawełskiego de facto programowo wyraża pogląd, że polityka wyjaśnienia się sama przez się, że istnieje sama dla siebie.

Dla przykładu:

Autor wyraźnie podkreśla, że walki francusko - niemieckie w dobie Wielkiej Rewolucji Francuskiej nie miały charakteru ideologicznego lecz wyłącznie polityczny (s. 91), że Metternich prowadził politykę nie (jak się to mylnie zazwyczaj przyjmuje) w interesie międzynarodowej reakcji porewolucyjnej, lecz jedynie wyrażał swą działalnością interesy austriackiej racji stanu (s. 118) itp.

W tej grze czystych polityków — epitetów, rozdawane przez Autora; tradycyjne jeśli idzie o przywódców reakcji niemieckiej (tradycyjne, t. zn. spotykane w każdej gazecie brukowej) — starają się o oryginalność, gdy mowa o jakichkolwiek ruchach wyzwoleniczych. Ziżka — to kondotier bez zasad (s. 11), socjal-demokracja nie warta jednego słowa pozytywnego (s. 280), obronna ręką jeszcze stosunkowo wyszła jakobini z 1792 r. — potraktowani wyrozumiałym epitetem: „zapaleńcy”.

Prof. Pawełski nie jest bynajmniej wolny od wpływow nauki niemieckiej. Nie tylko w zakresie języka swej pracy, nie tylko w swych przed chwilą wspomnianych aptypatiach politycznych. Wiele ocen, przyjętych w tej nauce, zwłaszcza ostatnio, przejmuje on bezkrytycznie.

Dla przykładu:

Ocena działalności Karola V (s. 11), wartościowanie czynników ośrodkowych i dośrodkowych w Rzeszy (s. 12), ocena dążeń separatystycznych ksiąząt (s. 52), ocena wycofania się Austrii z nad Renu za Metternicha (s. 116), ocena polityki Fryderyka Wilhelma pod czas Wiosny Ludów (s. 140) — oto kilka przykładów. Wyraźnie pod tym samym wpływem Wilhelmowi II oberwało się kilka bardzo nieprzyjemnych epitetów właśnie w kontekście, gdzie recenzent przyznaje się, iż uczył do niego na podstawie wykładu prof. Pawełskiego sympatie (s. 249 — 250 Wilhelm „pragnął rozszerzenia i pogłębienia ustawodawstwa socjalnego”, „nie chciał pierwszych lat swego panowania znaczyć krwią swych poddanych” itp. — za co spotkała go z ust dzisiejszego polskiego historyka bardzo brzydka charakterystyka!). Natomiast walkę polityczną w okresie poprzedzającym przejęcie władzy przez Hitlera, walkę dość jednoznaczna w swej istocie, hitlerowscy historycy lepiej charakteryzowali, bo obraz, podany nam w książce prof. Pawełskiego, znajduje swą syntezę w jego, bynajmniej nie odpowiadającym prawdzie zdaniu: „wojna wszystkich ze wszystkimi” (s. 318).

Dodajmy wreszcie, że dzieje Niemiec ujęte są przez prof. Pawełskiego nie tylko z bardzo silnym uwypukleniem stosunków polsko-niemieckich (rzecz zbudna, gdy mamy lepsze opracowania specjalne dziejów tych stosunków w znanej książce prof. Wojciechowskiego *) — lecz, że sprawa polska w tym ujęciu odgrywa często rolę niemal mistyczną, a co najmniej decydującą. Rzecz nie dziwna, gdy się uwzględni niezwykle właściwość narodu polskiego, a zwłaszcza polskiego chłopca, którego „duszy skarbem była religia” (s. 42).

PS. Na końcu książki znajdujemy bibliografię — lecz w niej naprośnie szukalibyśmy klasycznych dzieł o dziejach społecznych i gospodarczych Niemiec w czasach nowożytnych, dzieł, podstawowych nawet dla tego autora, któryby zamierzył dać nie syntezę dziejów Niemiec w czasach nowożytnych, lecz choćby tylko ich historię tzw. polityczną. Dzieł Webera, Trötscha, Kulischera, Sombarta, Claphama, Sartoriusa v. Waltershausena, Cunova i innych. Skutki widoczne.

Witold Kula

*) I cenne dzieło Feldmana.

PRZEGLĄD PRASY

„Nowiny literackie” od kilku tygodni stanowczo się polepszyły. Po niefortunnych, moim zdaniem, wypowiedziach o plastyce, zamieszczonych na pierwszym miejscu, pierwszą kolumnę numeru 5 zajmuje obszerna wypowiedź Zbigniewa Bienkowskiego o powieści amerykańskiej, zakończona morałem, z którym można się zgodzić lub nie, lecz na który warto zwrócić uwagę. „Weźmy z literatury amerykańskiej to, czym wzgardzali Francuzi. — Czynną postawę wobec rzeczywistości”. Z perspektywy Paryża Bienkowski jak gdyby zapomniał o tym, że nowoczesna amerykańska literatura nie wyskoczyła niby Atene z głowy Zeusa. Myślę, że to Amerykanie zwrócili się właśnie w tym nietatwym dla ich twórczości, jeśli oczywiście ma to być twórczość uczciwa, okresie historycznym do starzych, dobrych wzorów europejskich. Ie tam Francuzów i Rosjan, o tym wie najlepiej Bienkowski, bo u dawniejszych amerykańskich pisarzy odnajduje bez trudu ich europejskich antenatów. Myślę, że jak dobrze poskrobać, to za „antyintelektualizmem” dzisiejszych powieści amerykańskich znajdziemy warstwę inteligenckiej rozpachy. Wielec realisci nie byli antyintelektualni — ani Stendhal, ani Turgeniew, ani Tolstoj — nie odczuwali lęku przed zrozumieniem świata. Nie widzą powodu, by zachować do sięgania po amerykańskie gruszki rosnące na poczciwej, europejskiej wierzbie, pomijam już nawet to, że historyczna pozycja pisarzy amerykańskich, którzy, jeśli są uczciwi, muszą walczyć przeciwko Ameryce, jest inna niż pozycja pisarzy polskich, francuskich, sowieckich czy angielskich, którzy, jeśli są uczciwi, muszą bronić Europy przeciwko Ameryce. Pesymizm Amerykanów jest w prostej linii dziedzictwem humanizmu wielkich literatur europejskich. Francuzi „świeżą krew” mogą czerpać z tradycji własnej. Rosjanie już to zrobili. Szobochow, Aleksy Tolstoj, Pautowski są najlepszym przykładem doskonałego korzystania z doświadczeń tej epoki. Są, że geograficznie podziły w literaturze nie są celowe. Lewicowa literatura amerykańska nie zbawi intelektualistów francuskich podobnie jak plan Marshalla nie uratuje francuskiej prawicy. Można przechwycić modny sposób pisania, nie można przechwycić historycznej sytuacji innego kraju. Zdać mi się, że byłoby rzeczą niesłuszną oddawać Zachodnią Europę jako pozycję straconą, gdzie straszny już tylko widmo Kafki, którego nikt prócz Steinbecka wypleszyć nie zdoła. Widna straża tylko w ciemnościach, znikają w świetle. Źródło tego światła Europa ma dosyć, powrót do nich jest zawsze otwarty. Ale to już nie jest sprawa literacka.

Sumienny i dokładny artykuł Bienkowskiego zawiera błąd, jak mi się zdaje, tezę o korzyści, jaką moglibyśmy odnieść, zaciągając „amerykańską pożyczkę” antyintelektualizmu nawet u takich świetnych pisarzy, jak Steinbeck czy Hemingway. Sądzę, że europejski konta nie są jeszcze wcale wyczerpane, świadczy o tym właśnie nowa literatura amerykańska, która z nich czerpie obficie.

Wobec tego, że wspominałem wyżej o Aleksym Tolstoj, chciałbym przy okazji zwrócić uwagę czytelników na list Eleutera w poprzednim numerze „Nowin” omawiający „Droge przez mekę”.

Zjazd w Nieborowie, wydarzenie literackie i kulturalne bardzo istotne, dał niewielki plon w prasie. Pojawiły się artykuły streszczające przebieg tego pierwszego w Polsce seminarium, stworzonego z inicjatywy departamentu literatury dla najmłodszej generacji pisarzy, ale ani jeden z nich, z wyjątkiem artykułu Anny Kamińskiej („Wieś” nr 5) nie mówił nam o tym, co stanowiło istotę nieborowskiego zjazdu. Kamińska w obszernym artykule „Czterdziestu najmłodszych pisarzy” daje nam charakterystykę tej niejednorodnej grupy, a co ważniejsze, wskazuje na przyczynę niewłaściwego sporu między generacjami. Nie wielka karykatura, zamieszczona we „Wsi” świadczy o tym najlepiej, że taki spór istnieje. Z wysokiego podium schodzą pisarze trzydziestoletni, by ustąpić miejsca dwudziestoletnim, nadchodzącym z transparentem „przełom”. Czy nie za szybko? Czy istnieje spór między nimi rzeczywiście, czy też polega on tylko na niejednakowym nasywieniu tradycją kulturalną? Młodzi poeci, pisze Kamińska, ugarli się, że funkcja poety jest funkcją działacza kulturalnego. Oczywiście, jest również funkcją działacza kulturalnego. Ale to działanie musi odbywać się w wymiarach szerszych niż mechaniczne wstawianie słów i nazw „z gazet i sloganów” do takiej lub innej mozaiki, ułożonej cierpliwie w laboratoriach awangardzie przed dwudziestą pięć laty. Walka o prawo obywatelstwa dla oddzielnych słów z terminologii powstańczej („pepszka”) lub z zakresu odbudowy („elektryfikacja”) jest zbyt cenna, bo nikt tych praw nie odbiera. Przetom nastąpi wtedy, kiedy młodzi poeci przestaną klócić się o liść lauru.

Jako ilustrację wywodów Kamińskiej, można by potraktować sporą antologię wierszy młodych poetów, w ostatnim (tegorocznym) numerze „Twórczości”. Piękny wiersz Andrzeja Brauna, przeczytany poprawda jej zasadniczym tezom, ale potwierdza zato moje przypuszczenia. Cieszę się więc, że waskiej teorii odpowiada niekiedy szersza i bardziej interesująca praktyka.

ph.

TRESC NR 6:

Paweł Hoffman — W setną rocznicę pierwszego wydania Manifestu Komunistycznego; Jerzy Miller — Wiersze; Aleksander Wat — Antyzoil albo rekolacje na zakończenie roku; Paweł Hertz — W korzkowym pokoju; Ryszard Matuzewski — Ludzki krajobraz „Lata” Adolfa Rudnickiego; Anna Pogonowska — Wiersze; Władysław Rymkiewicz — Merkury; Adam Mauersberger — Anglia — P.J.ska 1830—1840; Georg Lukacs — Powieść jako mieszczańska epopea (dokończenie); Andrzej Braun — Opowiadania Aragona; Stefan Ołtwinowski — W Krakowie (I list trzydziesty pierwszy); Z ruchu wydawniczego; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

KORESPONDENCJA

W sprawie literatury dla młodzieży

W nr. 51-52 „KUŹNICY” ukazał się artykuł Heleny Bobińskiej pt. „Dialog o Czarnym Wężu”, atakujący „Świat Przygód”, a ściślej mówiąc — nr. 65 tego pisma (z sierpnia ub. r.).

Muszę przyznać, że zamieszczenie go w grudniowym numerze „KUŹNICY” ogromnie mnie, jako obecnego sekretarza odpowiedzialnego redakcji, zaskoczyło.

Poziom „Świata Przygód” został właściwie oceniony przez Wyd. Młodz. Szkolnej Zarz. G. ZWM. Spowodowano przeniesienie go do Warszawy, poczym w październiku ub. r. przeszedł pod naszą „opiekę”.

Pismo skończyło już z kowbojami, kryminalną bzdurą, szmirawatymi ilustracjami.

Współpracują z nami obecnie: Janina Broniewska, Janusz Meissner, Gustaw Morcinek, St. Strumph Wojtkiewicz, Tadeusz Borowski, M. Walentyłowicz. W najbliższym czasie rozpoczniemy drukować w J. Grabskiego, K. Makuszyńskiego. Rysować będą: p. M. Szancer i Knothe.

Pisują również studenci „Zyciowcy” oraz czytelnicy. Z działem harscerskim współpracują Naczelniczka Harcerek, tow. Dewitowa. Działy sportowy i filatelistyczny redagują obecnie wybitni fachowcy.

Pismo nie jest jeszcze „idealne”, w najbliższym jednak czasie ustalona zostanie jego linia ideowo-wychowawcza, t. zn. rozpoczniemy drugi etap przemian (pierwszym było wydobycie go z „kowbojstwa” na wyższy poziom literacki i graficzny).

Podkreślić muszę, że pomimo przeprowadzonych zmian nakład pisma nie spadł, a ilość zwrotów zmniejszyła się nawet. Wobec likwidacji „Młodej Rzeczpospolitej” — „Świat Przygód” jako jedyne chyba masowe pismo młodzieży — jest ważnym zagadnieniem zarówno dla ZG, ZWM, jak i dla ZG, RSW „Prasa”. Nawet min. Oświaty (dyr. Kormanowa), którego pomocy używa p. Bobińska — wyraziło już pozytywną opinię o zmianach w „Świecie Przygód”.

Po tym przyludim nieco wstępnie zwracam się do Was, tow. Redaktorze z uprzejmą prośbą o zamieszczenie recenzji, wzgl. artykułu o nowym „Świecie Przygód” (może Grodzieńska?), który wraz z wyjaśnieniem artykułu p. Bobińskiej naprawi nieświadomie chyba wyrządzoną pismu krzywdę.

Wysłałem jednocześnie szereg dawniejszych i obecnych numerów „Świata Przygód”.

Sekretarz Odp. Redakcji

(—) Keil - Skrobiszewski Stefan

W odpowiedzi na list Redakcji „Świata Przygód” proszę o umieszczenie tych kilku słów wyjaśnienia.

„Dialog o Czarnym Wężu” pisałam w październiku ub. r. (do Redakcji „Kuźnicy” pośladem 12 listopada).

W moim rozporządzeniu były NN-y „Świata Przygód” od maja do października. Kiedy zwróciłam się o wcześniejsze NN-y do Biblioteki Publicznej dla Młodzieży (Plusa 15), otrzymałam odpowiedź, że „brukowa literatura” do Biblioteki jest niedopuszczalna. Tak samo odpowiedziano mi w Bibliotece Min. Oświaty. Była to chyba dostatecznie jasna ocena ówczesnego „Świata Przygód” ze strony tych instytucji. Uważałam, że charakteryzując pismo, należy właśnie oprzeć się na jednym całym typowym N-rze, nie zaś na dowolnie wybranych „kawałkach”. Zresztą w „Dialogu o Czarnym Wężu” mówię wyraźnie: „Bo nie chodzi tu o to jedno pismo. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, sięgającym daleko głębiej, ze zjawiskiem b. groźnym dla naszej kultury. Jasne było dla każdego czytelnika, że nie chodzi mi tylko o „Świat Przygód”, ale o groźący nam zalew „klechd obrazkowych” i tanich sensacyjnych powieści, którymi karmi się nasza młodzież.

Nie jest to niebezpieczeństwo urojone, skoro na II Generalnej Konferencji Unesco przewodniczący naszej delegacji — Stefan Wierbłowski zmuszony był wystąpić przeciwko „klechdom obrazkowym” i szlagierom Hollywoodu w obronie naszej kultury.

To też cieszy mnie szczerze zapewnienie Redakcji „Świata Przygód”, że „pismo skończyło już z kowbojami, kryminalną bzdurą, szmirawatymi ilustracjami”. Czy jednak trzeba było aż całego roku, żeby z tą smutną przeszłością skończyć?

Nie wątpię też, że współpraca ze „Światem Przygód” wybitnych naszych pisarzy i Dówdztwa Harscerskiego pozwoli pismu stanąć na poziomie, godnym naszej młodzieży. I z serca życzę „Świata Przygód” powodzenia na nowej drodze.

Kraków, dn. 30. I. 1948 r.

Helena Bobińska

KOMUNIKAT

W dniu 19 stycznia br. na zebraniu prezydium Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich na stanowisko zastępczego sekretarza generalnego Juliusza Zulańskiego został dokończony Leopold Lewin.

Jesteśmy w USA

Kroniki parlamentarne Izby Gmin zanotowały ostatnio niecodzienny wypadek. Sekretarz parlamentarny ministerstwa lotnictwa G. S. Lindgren zwrócił się do Foreign Office z prośbą o interwencję w sprawie niejakiej Margaret Goosey, która przed kilkoma miesiącami wyjechała do Stanów Zjednoczonych w celu poślubienia obywatela amerykańskiego, żołnierza sił zbrojnych USA, 29-letniego Thomasa Henry Johnson'a. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych, dokładnie do stanu Virginia, Margaret Goosey została... skazana na 6 miesięcy pracy przymusowej w specjalnym domu poprawczym dla kobiet. Zaalarmowana matka nieszczęśliwej narzeczonej poczyniła starania o interwencję i stąd wystąpienie Lindgrona. Foreign Office „zbadalo sprawę dokładnie”. W odpowiedzi skierowanej na ręce Lindgrona, który domagał się interwencji w Departamencie Stanu USA, Foreign Office stwierdza: „Panna Goosey dobrowolnie pogwałciła prawa państwowe kraju, w którym zamieszkała. Jakkolwiek wielu obywateli brytyjskim prawa te wydać się mogą trudne do przyjęcia, nie znajdujemy oczywiście powodów do interweniowania u władz państwowych USA”. Foreign Office zapewnia zresztą, że panna Margaret Goosey będzie mogła powrócić do Wielkiej Brytanii. Na wolności w Stanach Zjednoczonych pozostawać jej nie wolno. Thomas Henry Johnson, obywatel Stanów Zjednoczonych, żołnierz sił zbrojnych USA jest bowiem Murzynem. A prawa „kraju w którym zamieszkała” nieszczęśliwa narzeczoneja jest między innymi ustawa przewidująca karę pozbawienia wolności dla białej kobiety „dobrowolnie utrzymującej stosunki z Murzynem”.

Bibuła czy serce?

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” zamieszcza pod powyższym tytułem list do redakcji treści następującej:

„Z głębokim zdziwieniem i z wielkim wstydem przeczytałem list do „Dziennika” w nrze z 7 stycznia, zatytułowany „Dary w bibule komunistycznej”. Przewodniczący Rady Samorządowej Hosteli, nie zasięgając niczyjej rady, miał odwagę odrzucić dary dzieci polskich z Kraju dla dzieci polskich na emigracji. Jako przyczynę podaje p. przewodniczący dodanie do słodyczy dla dzieci — „bibule komunistycznej”.



Nie domyślił się jednak p. przewodniczący, że najprostszą było nie przyjąć bibule, przyjąć natomiast serca dzieci z Kraju w postaci listów, dołączonych do słodyczy. Sumienie jego widać uznało, że wolno odrzucić wyciągniętą rękę dziecka polskiego diatego tylko, że jest ono w niewoli. W dołączonych do podarków pismach „Płomień” i „Płomyk” nie było nic, coby mogło obrażać uczucia wolnych Polaków. Numery obu pismek były bowiem w całości poświęcone Ziemiom Odzyskanym.

Coby powiedział p. przewodniczący Rady, gdyby tak w Warszawie odmówiono przyjęcia naszych ofiar na powodziań, czy na odbudowę kościołów? Wszak i tam by mogli wystylizować piękny frazes o bibule?

Sądzę, że podarunki dzieci polskich popłynęły zapewne przez złe ręce, ale same one były szczerzote. Jeżeli odrzucimy dary dzieci polskich, jakaż pozostanie nasza więź z Krajem?

Obóz, w którym przebywam, podarunki przyjął — dodaje autor listu — Jan Bielawicz.

Dziwi się oburzeniu p. Bielawicza. Już na parę lat przed wojną, kiedy sanacja złamać chciała Związek Nauczycielstwa Polskiego, oskarżono biedny „Płomyk” o szerzenie propagandy komunistycznej. Przewodniczący Rady Samorządowej, p. Hosteli powtarza po prostu to, czego go nauczone przed dziesięciu laty. Semper sanatio fideles.

Tylko „szybko” czy „szybko i dobrze”?

Bardzo pięknym hasłem jest hasło wyścigu pracy. Są dziedziny, w których pojęcia takie jak „wykonanie normy”, „nadwyżka w wykonaniu normy” mają bardzo określoną treść.

Noty

Wyścig i osiągnięcia Pstrowskiego przy wydobyciu węgla są oczywiste. Są jednak dziedziny inne gdzie praca na „ilość” przeliczyć się nie da. Już w produkcji przemysłowej, nie tylko tam, gdzie chodzi o wartości intelektualne, źle pojęte hasło „wyścigu pracy” rodzi złe skutki. Ze skutkami tymi styka się niestety od czasu do czasu obywatel, czy to kupując



serwis stołowy, w którym dziewięć filiżanek ma inny kształt a trzy inny („tak przysiano z fabryki”), czy stwierdzając że z dwu kompletów białych noszących ten sam numer — jeden nadaje się na wielkoluda, drugi na liliputa, („tak dzisiaj robią — wyścig pracy”). Nie. To nie ma nic wspólnego z „wyścigiem pracy”. To wyścig niechlujstwa skutecznie wykorzystywany przez malkontentów. Mamy dane obawiać się, że istnieją w społeczeństwie mąciwody, które z hasła „wyścigu pracy” robią zabawę. Na pewnym zebraniu pewnej okręgowej komisji Związków Zawodowych był obecny również przedstawiciel Związku Literatów. Pewien „działacz” nawołując do zwiększenia wysiłków poszczególnych Związków, zwrócił się pod jego adresem z poważną pretencją, że Związek Zawodowy Literatów nie przedstawia i nie wykonuje „planu pracy”. Trzeba — stwierdził — przedstawić plan i starać się o przekroczenie normy. Obecni na sali przedstawiciele robotników stykający się z pisarzami swego miasta i wędzacy, czym jest praca pisarzy, obdarzył wośką gromkim śmiechem. Ale przedstawicielowi Związku Literatów było nie do śmiechu. Wiedział on bowiem, że koncepcje traktowania pracy pisarza jako dającej się obliczyć w metrach kubicznych rodzą się od pewnego czasu nie tylko w głowach wasołów.

Myśli starego doktora

Otrzymałem niedawno list z prowincji od pewnego starego doktora, który pisze „Czy przegladal Pan „Bez ogródek” w Nr 5 „Tygodnika Powszechnego”? Są tam dwie noty — jedna p. t. „Gruboskórność” wzywała na ilustrację, zamieszczoną w „Dzienniku Literackim”, a przedrukowaną z „Les Lettres francaises”. „Jest to — pisze p. N. K. — obrazek św. Rodziny. N. Maria P. kapie małego Jezuska i do aniołka, który sphywa z chmury (!) mówi „Bądź tak dobry i podaj mi gabkę”. P. N. K. oburza się na ten niewinny rysunek i podpis. Czyżby p. N. K. nie znał pięknego opowiadania Anatola France'a „Kuglarz Matki Boskiej”? Jestem stary człowiek, cenię tradycję narodową, ale mnie ten niewinny rysunek nie zgrzeszył.



W nocie „Niestosowne porównanie” strofując znowu niejakiego p. M. S. pana profesora Kubackiego, że osmlelił się porównać bieg maratoński do Golgoty. Jestem stary człowiek i nie podoba mi się to porównanie ze względów stylistycznych, ale nie widzę tu obrazu uczuć chrześcijańskich. Kiedy bawilem niedawno w Krakowie, zaszedłem do redakcji „Tygodnika Powszechnego” i przez uchylone drzwi usłyszałem, jak ksiądz Piwowarczyk mówi do redaktora Turowicza: „Moje dziecko, istny krzyż Pański mamy z tym Kislewskim”. Jestem stary człowiek i cenię tradycję narodową mimo to nie czulem się zgrzeszony tym zdaniem księdza Piwowarczyka, który powtarza je zapewne częściej niż profesor Kubacki swoje porównanie”. Tyle stary doktor.

Nieporozumienie

W Nr 5 tygodnika „Wieś” w artykule Anny Kamińskiej „Czterdziestu najmłodszych pisarzy” czytamy m. in.: „Poetyka redaktorów „Kuźnicy” stała się niemal oficjalna”.

Nie wiemy, skąd publicystka „Wsi” czerpie te informacje. Nie znamy na przykład poetyki redaktora „Kuźnicy” Stefana Zółkiewskiego. Widocznie autorka artykułu wie lepiej.

Poeeci piszący w „Kuźnicy” nie tworzą jednolitej grupy. „Kuźnica” wielokrotnie dawała wyraz przekonaniu, że spory natury formalnej w rodzaju: poetyka tradycyjna czy awangardowa są dzisiaj anachroniczne. Zagadnienie współczesności poezji jest w tej chwili szersze i poważniejsze.

„Kuźnica” popierała zawsze wszelkie rzetelne wartości literackie, zwracała uwagę na wybitne zasługi zarówno Przybosa, Ważyka czy Miłosza, jak i Tuwima, Broniewskiego, Iwaskiewicza czy Słonimskiego; z poezji obcej umieszczała utwory o szerokiej rozpiętości form i rodzajów — od Eluarda i Aragona po Majakowskiego i Borysa Pasternaka. „Kuźnica” drukowała utwory najmłodszych poetów, jeśli tylko zdrażały konieczne minimum talentu i umiejętności. Nie drukowała natomiast i nie będzie drukowała lichych wierszy, niezależnie od gatunku i rodzaju.

Próby zasugerowania opinii czytelników, że w tej chwili toczy się spór między poetyką „tradycyjną” a „awangardową” oparte są na nieporozumieniu.

Skandal

Od paru tygodni cała prasa i opinia publiczna huczy w słusznym oburzeniu na aferę znaną w Warszawie kolaborantki, współpracownicy „Fali”, „Nowego Kuriera Warszawskiego” i innych szmatławców Heleny Wielgomasowej. Przy okazji wpłynęła sprawa innego znanego w Warszawie szubrawca z czasów okupacji — Trepanowskiego. W sprawie tej front całego społeczeństwa polskiego musi być jednolity. Ktokolwiek był w Warszawie podczas okupacji, orientował się jako tako w życiu podziemnym — wie kim była Wielgomasowa i jej podobni. Fakt, że osoby tego rodzaju chodzą dziś na wolności należą do Związku Uczestników Walki Zbrojnej jest najwyższym skandalem i w sprawie tej, będącej — jak słusznie napisał Paweł Jasienica w „Tyg. Powszechnym” — sprawą moralności naszego życia publicznego, opinia wszystkich uczciwych ludzi w Polsce jest zgodna.

KSIĄŻKI NADESLANE

Roman Szewczyk: — Ludność Lublina w latach 1583-1650 (Praca doktorska), nakładem Towarzystwa Naukowego K. U. L. Lublin 1947, str. 152.

Prof. Witold Skalski: — Zasady inwentaryzowania i bilansowania, wyd. VII zaktualizowane, nakł. Księgarni Wł. Wilak, Poznań, 1947, str. 177.

Przyczyny ucieczki Mikołajczyka (zatrącony dokument, rewelacyjne zeznania), nakładem Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, Poznań 1947, str. 64 — cena zł. 20.

Mayzner Tadeusz: — Chopin, nakładem Instytutu Fryderyka Chopina, Warszawa, 1947, str. 75.

Dzieje wojny domowej w ZSRR, tom II (Wielka Rewolucja Proletariacka), zestawili: Aleksander Mine, Pospiełow, Jarosławski, Genkina, Gorodiecki, Razgon, Towstuch, nakł. Wydawn. Literatury w Językach Obcych, Moskwa 1947, str. 618.

Bronisław Wieczorkiewicz: — Cwiczenia ortograficzne na kl. VII, nakład. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 78 — zł. 50.

St. Szeligowski: — Komefy i meteory, nakł. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 43 — zł. 75.

Benedykt Hertz: — Sprzed lat czterdziestu (Sztuka w jednym akcie), nakł. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 28 — zł. 30.

Aleksander Lipa: — Technika sprawnego liczenia (Podręcznik dla gimnazjów handlowych i spółdzielczych), nakład. Państwowych Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 212, — zł. 150.

Antoni Taton i Kazimierz Jabłowski: — Wiaomości z organizacji i techniki handlu, cz. I dla I kl. gimn. handl., nakład. Państwowych Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 345, — zł. 250.

Inż. G. Henzel i inż. Stanisław Wierusz-Kowalski: — Podstawy elektrotechniki, wyd. II, część II (Prąd zmienny, podręcznik szkolny w zakresie gimn.), nakł. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 208, zł. 175.

Witold Doroszewski i Bronisław Wieczorkiewicz: — Zasady poprawnej wymowy polskiej (ze słownikiem), nakład. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 84 — zł. 60.

Emilia Sukertowa - Biedrawina: — Mazurskie dole i niedole, nakł. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 76 — zł. 85.

Jan Zdzitowiecki: — Rola niemieckich prowincji wschodnich w gospodarce Rzeszy, Biblioteka Ziemi Odzyskanych, nakład. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, str. 56 — zł. 65.

Piotr Modrak: — W krainie kangura, Biblioteka Geograficzna, nakł. Państw. Zakł. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 123 — zł. 200.

Stanisław Kaimowski 1873-1946 Biblioteka Nauczyciela - Demotriaty Nr 5 nakładem Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 137 — zł. 135

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ZÓŁKIEWSKI

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji: Administracji ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERAT:

miesięcznie zł 30,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.

Należność za prenumeratę należy wpłacać

do P. R. O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”

— 01879; Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, zwirkt 2.